BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 156.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

Tom czwarty.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1879.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Сентября 1879 года.

Druk. J. Bergera, ulica Elektoralna N. 14 w Warszawie.

Tomasz August Olizarowski.

PRZEZ

Seweryną z Żoch. Duchińską.

Jesteś dłużnikiem: słowo ci zwierzone
Winno plon wydać, a nie pytać tobie,
Czy kto plon zbierze i jaki i kiedy?
Czy za żywota twego, czy na grobie?
Niech twoje słowa, jako łzy Rogniedy [1])
Za dni żywota nigdy nie ustaną;
Wciąż się odzywaj tak, żeby słuchano,
Czy nie wychodzą jeszcze jakieś pienia,
Zpod grobowego twojego kamienia!

W tych kilku wierszach, skreślonych stygnącą już ręką, zamyka się cały życiorys poety. Z darów Bożych, otrzymawszy jedyny, słowo, uczuł się w sumieniu dłużnikiem i przez lat pięćdziesiąt wypłacał dług swój z niezmordowaną wytrwałością. Pierwszym szelążkiem, złożonym do Bożéj skarbony, był hymn napisany ręką piętnastoletniego chłopięcia, nastrojony na ton harfy Dawidowéj, który uczniowie krzemienieccy powtarzali chórem w licealnéj kaplicy; ostatnim szelążkiem był czterowiersz, skreślony w przeddzień śmierci, na maleńkim świstku, który odkryliśmy przy wezgłowiu zmarłego; czterowiersz prosty, krótki, ale jakże wymowny:

Skończona praca,
Już niéma win;
Do ojca wraca
Zbłąkany syn!

Pomiędzy tamtym pierwszym a tym ostatnim akordem, które zlewają się tak harmonijnie z sobą, ileżto różnobrzmiących dźwięków potrąca nam ucho! Jedne z nich dzikie jak poryk piorunowéj burzy, rozszalałéj po stepowych mogiłach; inne poważne, niby szum wołyńskich sosen nad Ikwą, lub szelest kłosów na polach Halicza; tamte znów słodkie i rzewne, jak kwilenie skowronka, ulatującego w powietrzne błęki-

[1]) Rognieda, księżniczka połocka, bohatérka jednego z ostatnich dramatów poety.

ty; a wszystkie te dźwięki, pełne siły i barwy, dzwonią jak fujarka z onéj wierzby zaklętéj, co niezasłyszała nigdy szumu wody, ani piania koguta. Samodzielność ta stanowi właśnie piętno, wyciśnięte na każdym utworze Olizarowskiego. Jeżeli nuta jego, szorstka częstokroć i dzika, raziła nieraz ucho zwykłych czytelników lub pseudo-estetyków, usiłujących dostrajać wszystko do jednéj modły, głęboko za to poruszała wielkich poetów i pierwszorzędnych krytyków naszych. Odczuł ją Józef Korzeniowski, kiedy młodziuchnego ucznia swego w Krzemieńcu skierował na drogę poezyi; odczuł ją Aleksander Tyszyński, a po nim Michał Grabowski, kiedy pomieścili Olizarowskiego w liczbie koryfeuszów ukraińskiéj szkoły; odczuł ją Mickiewicz, kiedy zapłakał nad jego pieśnią: odczuł ją Goszczyński, odczuł Bogdan, gdy w młodym Krzemieńczaninie powitali bratniego ducha.

Nie było daném Olizarowskiemu, wystąpić jako szermierz, w walce romantyków z klasykami. Kiedy młodém chłopięciem jął zrywać kwiaty poezyi, znalazł on pole wytrzebione toporem potężnych karczowników. Mickiewicz starł już głowę klasycznéj hydrze; Goszczyński wywołał już zpod mogił duchy wiedźm i krwawych potępieńców koliszczyzny; Bogdan Zaleski, zaklętym czarem lutni bojanowéj, zbudził już ze snu Rusałki naprzeprzańskie. Lody pękły pod tchnieniem wrzących piersi; droga była wytknięta, wskazane zdroje rodzimych natchnień; pozostało tylko sięgnąć do tychże krynic, czerpać z nich wodę żywą. Uczynił to Olizarowski z całą wolnością ducha; porwany nowym prądem, nie stał się wcale ślepym naśladowcą poprzedników swoich, lecz umiał obok nich zachować własną osobistość.

Całe życie poety zamyka się w jego pismach, jak to rzekliśmy wyżéj. Zawarty w sobie, nieskory do poufnych zwierzeń, wyrażał się z trudnością w potocznéj pogadance; czasem tylko, gdy pierś jego wezbrała, słowo wybiegało z niéj, jakby lawa z wulkanu. Zwiędłe kwiaty swych uczuć, starganą przedzę marzeń i zawiedzionych nadziei, składał cicho w najgłębsze tajniki serca swego i pieśnią tylko wyrzucał je raz po raz z téj zaklętéj skarbony. To téż za życia jeszcze stał się niejako mitem: najbliżsi i przyjaciele nie wyczytali w jego sercu tych tajemniczych zgłosek, jakie czas na niém wyrył; nie znali tych drobnych szczegółów z przeszłości, które stanowią najciekawszą stronę życiorysu. Data nawet i miejsce urodzenia mylnie były dotąd podawane. Leniwy w rozmowie, leniwszym był jeszcze do pisywania listów. Kilka ich zaledwie wpadło nam w rękę: skreślone pod wpływem silnego wrażenia, równie jak słowa jego, buchają żarem wulkanicznym.

W takich warunkach życiorys Olizarowskiego trudném jest nadzwyczaj zadaniem. Z pieśni jedynie, w małéj części drukowanych, w większéj części pozostałych w rękopismach, możnaby usnuć jakiś psychiczny wątek, ale i tu nowa zachodzi trudność. Drukowane jego utwory rozpierzchły się po kraju: napróżno kołataliśmy o nie do źródeł, z których na świat wybiegły. Aby je wydobyć z dalekich od nas księgozbiorów, potrzeba na to czasu. Co zaś do rękopisów, mamy

przed sobą całe foliały, ale z maleńkiéj ledwie cząstki możemy dziś korzystać: najjaskrawsze, a tém samém najwięcéj charakteryzujące poetę, pominąć jesteśmy zmuszeni. Wspomnień też naszych o zmarłym niémamy prawa nazwać życiorysem, ani krytycznym rozbiorem jego utworów; dajemy je poprostu, jako materyał dla szczęśliwszego biografa, któremu okoliczności pozwolą objąć cały żywot i wszystkie prace naszego znakomitego poety.

I.

Tomasz Olizarowski urodził się w roku 1811, w Wojsławicach w Galicyi, niedaleko Rzeszowa. Ojciec jego Jakób, zasłużony oficer z legionów Dąbrowskiego, powróciwszy z obcych krajów, osiadł czasowo w Galicyi z młodą żoną, z domu Aleksandrowiczówną; lecz oboje nie byli wpisani w galicyjską ludność: właściwém ich gniazdem był Wołyń. Gdy syn podrósł, oddali go zatém do słynnéj szkoły Krzemienieckiéj, założonéj przez Tadeusza Czackiego.

W pierwszych latach chłopczyk okazywał szczególną zdolność do nauk matematycznych. Będąc jeszcze uczniem klasy drugiéj, nakreślił zasady arytmetyki, tak jasno i dokładnie, że korepetytorowie w wykładach uczniom, trzymali się tych formuł. Później obudziła się w nim chęć do poezyi: nauka matematyki dzielnie mu posłużyła do normalnego układu zgłosek i do ścisłego obliczania się z myślą, jaką pragnął wyrazić. Wiersz jędrny, jakby wyrąbany, podobał się towarzyszom: obsypali go oklaskami.

— Ha! kiedy tak, piszmy daléj!—pomyślał uczeń i począł rzucać na papier coraz to nowe zwrotki: zapisał niemi cały kajet. Wiersze te odczytywał z zapałem; koledzy zachwycali się niemi; byli jednak między nimi zawistni, dla których tryumfy młodzieńca stały się solą w oku. Zmawiają się więc, wykradają nieszczęśliwy kajet: daléjże rozczytywać wiersze i nicować je bez litości. Pierwsze rzuty niedoświadczonego pióra, nie zdołały wytrzymać takiéj próby; połyski talentu ocalić ich nie mogły przed sądem zawziętych zoilów. Młody poeta odpierał z gniewem rzucane mu pociski; szarpany sam, szarpał drugich niemiłosiernie. Ciągłe to szamotanie, wyrabiało w nim dziką energią.

Złośliwi koledzy postanawiają bądźcobądź skruszyć pióro zuchwalca, ośmieszyć go w oczach całéj szkoły. Przepisują więc kajet literami w kształcie drukowanych; przekręcają wyrazy i całe zwroty, dodają do nich najniedorzeczniejsze wierszydła. Zbroszurowany tomik, z wypisaném na okładce imieniem Olizarowskiego, przebiega z rąk do rąk, staje się celem ogólnego pośmiewiska. Szczególny śmiech budzi jakiś wiersz elegijny, w którym nieszczęśliwy kochanek

Omdlał i stoi
Obok swéj Chloi!

Był to wiersz młodego Michalewicza, najzłośliwszego z antagonistów poety.

Wzajemna niechęć takie wreszcie przybrała rozmiary, że biédny nasz uczeń, ścigany jak jeleń obławą, zerwał wszelkie stosunki z towarzyszami. Mieszkając z nimi pod jednym dachem, wolał cierpiéć głód, niż do wspólnego siadać stołu. Przez pół roku poprzestawał na resztkach, jakie mu z kuchni przynoszono. Późniéj, czyto zniewolony przez zwierzchników, czy téż zadosyć czyniąc przychylniejszym mu kolegom, jadał przy wspólnym stole, trzymał się jednak na uboczu. Tak przeszło całe dwa lata. Prześladowania te ciężko dogryzały poecie, lecz nie wytrąciły mu pióra, nie złamały żelaznéj woli. Młodzian nie ustąpił ani na krok; całą duszą utonął w poezyi.

— Wy mnie prześladujecie!—powtarzał nieraz—otóż na złość wam będę pisał!

Niedosyć było tych prób: twardsze zapory do zwalczenia napotkał on w krewnym swoim Zaklice. Młodzieniec ten, towarzysz jego szkolny, należał do najzdolniejszych i najpracowitszych uczniów. Zamiłowany w naukach ścisłych, uprawiał je z zapałem. Pozytywista z wrodzonego popędu i z charakteru pracy, wyrzucał poecie niedorzeczne marzycielstwo.

— Do czego doprowadzą cię wiersze?—pytał, ruszając pogardliwie ramionami—czas już porzucić te dziecińśtwa, a wziąść się do tego, co ci da chléb na przyszłość.

Poeta przyjmował rady w milczeniu, lecz słuchać ich nie myślał. Im gwałtowniéj odrywano go od poezyi, tém ją kochał goręcéj, tém silniéj pragnął poślubić ją nazawsze.

Profesorem języka i literatury polskiéj w Krzemieńcu był Józef Korzeniowski. Nasz poeta słuchał z zapałem jego wykładów; profesor ze swéj strony oceniając pilność ucznia, śledził go bezustannie okiem. Ośmielony tém młodzian, odważył się wypracować wierszem ćwiczenie. Z bijącém sercem złożył je do rąk profesorowi. Biegły krytyk poznał młode lwiątko po pazurach, z drobnéj próbki odgadł zdolność poety. Odtąd szczególną otoczył go opieką, zachęcał do pisania, rozmawiał z nim po przyjacielsku; surowy dla drugich, ale z pozoru tylko, w obejściu z Olizarowskim okazywał dziwną dobroć i słodycz. Nieraz brał go pod rękę, odbywał z nim dalekie przechadzki.

Obejście profesora oddziałało na całą szkołę. Zatargi ustały, miejsce ich zastąpił powszechny szacunek. Wkrótce, o mury licealnego kościoła rozległ się hymn utworu młodego poety, odśpiewany chórem przez uczniów. Szyderstwa umilkły, wszystko poszło w niepamięć. Tryumfator przebaczył z serca prześladowcom; ci ze swéj strony odkryli w nim pomazańca Muz i z cichém poglądali nań uwielbieniem.

Szczęśliwy młodzian oddał się wyłącznie poezyi; bezustanku kreślił coraz to nowe wiersze. Brakło czasu na uprawę innych nauk. Przy końcu roku szkolnego, przychylniejsi towarzysze jęli upominać go, przepowiadając, że otrzyma złe stopnie. Poeta żartował sobie z tych wróżb; ufny w życzliwość Korzeniowskiego, pewien był że wyjdzie

szczęśliwie z próby. Jakież było jego zdumienie, jaki wstyd, kiedy zobaczył na cenzurze wyraz *mierny*, nakreślony właśnie ręką życzliwego mu profesora.

Wypadek ten przeszedł bez następstw; koledzy nie śmieli szydzić z ucznia, który górował nad nimi talentem; Korzeniowski pokochał tém więcéj zdolnego młodziana, gdy ten obliczywszy się z sobą, uczuł, że zasłużył na karę i przykładną pilnością wkrótce powetował czas stracony.

Ośmioletni pobyt w szkołach Krzemienieckich, niezatartemi rysami wyrył się w pamięci poety. Do saméj śmierci zachował on w sercu wdzięczność dla profesorów, świadczy o tém rzewny wiersz, nakreślony sędziwą już ręką; znaleźliśmy go w pozostałych papierach pod datą 1871 roku.

Tak, o was dumam, mistrzc me w nauce,
Ale dumaniem już tylko się smucę;
Już tylko widzę, gdzieś tam, wasze krzyże.
Mogiły wasze, już z ziemią zrównane,
Trawy i zielska na nich już nieświeże,
A wszystko społem, milczeniem odziane;
Puszczyk je przerwie lub wędrowne ptaszę,
Gdy zbłądzi, spocząć na mogiły wasze.
Lecz mnogi słuchacz dzieciuny i młody,
Już nie okoli waszych katedr nowych
I nie dobędzie z waszych urn grobowych
Pochwał ni nagan!...

Doświadczony życiem, przebaczył on z serca towarzyszom dwuletnie chłosty i prześladowania, a zachował tylko wdzięczną pamięć za wieńce i oklaski, jakiemi go późniéj obsypywali.

O was ja dumam i o was rówieśni,
Coście z méj młodéj urągali pieśni;
Coście ją potém na swe serca wzięli
I tak podnieśli i takim odzieli
Pochwał urokiem, iżem się zagubił
Duchem w uroku i pieśnim poślubił
Żywot i wszystko co w światowéj mowie:
Szczęściem, wygodą, mądrością się zowie.
Na otworzoną pochwały waszemi,
Do mego szczęścia niebezpieczną drogę,
Wyszedłem głuchy na wszelką przestrogę!

Wspomnienie Krzemieńca, raz po raz wybiega z dźwięcznych strun jego liry. Przytaczamy dziwnie malowniczy obrazek:

Góry wy miłe! na waszych ja szczytach!
Nadziemsko błogich doznawałem wrażeń,

Gdym się oczyma zanurzał w błękitach,
Ze złotą przędzą młodocianych marzeń,
Gdym się zachwycał pysznym słońca kwiatem,
Wyrastającym z rana poza światem;
Albo schodzącym do Ikwy wieczorem,
Dobranoc niebu powiedzieć za borem!
Jak ja lubiłem z waszych szczytów oko
Puszczać sokołem daleko, szeroko;
Jak ja lubiłem oczyma tęsknoty
Na chmur i ptaków poglądać przeloty!
Jak ja lubiłem echa dolin budzić,
Draźnić się pieśnią, rozmową się łudzić;
Jak ja lubiłem słuchać orła krzyków,
Kukułki wróżeń i pieśni słowików!

Powtórzmy tu jeszcze najsmętniejszą ze wszystkich dumkę: *Co wieczora*, poświęconą pamięci drogich progów domowych.

Co wieczora w sercu niecę
Wspomnień ogień cyprysowy,
Sokołami myśli lecę,
W nadbużański kraj domowy.
Co wieczora zachwycony,
Palm północnych [1]) gonię szumy
I słowicze Orfeony
I wołyńskie słyszę dumy.
Krzemienieckie widzę góry,
Licealne widzę mury;
Widzę rzeki i jeziora:
Wołyń widzę co wieczora.
Ziemia droga mnie tam wzywa,
Przepasana Ikwy szarfą,
Nadpowietrzną do snu harfą:
Co wieczora się odzywa!
Co wieczora pokryjomu
Słucham harfy lub anioła,
Jak po całym Bożym domu,
Głosem matki syna woła.
— Gdzie ty, synu, nieszczęśliwy?
Czyś ty żywy, czy nieżywy?
Ciebie co dnia matka siwa,
Jękiem szuka, płaczem wzywa.
Na rozstaniu z matką biédną,
Chory ojciec tuż przy grobie

---

[1]) Tak zwykł nazywać sosny.

Krok zatrzymał, myślą jedną,
A ta jedna myśl o tobie.
  Wyglądają siostry ciebie,
Co wieczora w świata głębie,
Myśli tęsknych ślą gołębie,
Modlitwami toną w niebie.
  Czas nadzieją tam ich łudzi,
Obiecanek cacka nosi;
Nieprawdziwe wieści głosi:
Łzy prawdziwe w końcu budzi.
  Tak gdy w świata Zaporożu
Szuka nocy dnia pochodnia,
Ja dumami pływam co dnia,
Po wieczorném wspomnień morzu!

To wspomnienie Krzemieńca było dla poety jakby echem zatraconego raju. Zagnany huraganem w dalekie świata strony, ścigał wreszcie pamięcią, szum Ikwy, pląsającéj po krzemienistém łożu, jak wieszczy Adam gonił szum Wilii w objęciach Niemna, jak Bohdan chwytał pogwizdy wichru po mogiłach stepowych. Ów Krzemieniec który wyniańczył młodego sokoła, pozostał do końca dni, duchowém jego gniazdem. Zdala od Ikwy, w gronie braci Krzemieńczanów, złączony z nimi węzłem młodzieńczych wspomnień, czerpał w nich siły do szerokich polotów. Późniéj złamanemu burzą, ramię Krzemieńczanina ostatniém było oparciem; ręka Krzemieńczanina rzuciła garść ziemi na jego trumnę. Tym wiernym przyjacielem był p. Kanut Gorkowski, niegdyś szkolny kolega poety. On gorącém słowem i gorącemi łzami uczcił pamięć druha przy grobie.

II.

Ale wspomnienia Krzemieńca, zadaleko nas zapędziły. Cofnijmy się o lat blisko pięćdziesiąt, kiedy poeta, opuściwszy zaledwie szkolną ławę, zszedł się, jak mówi, z burzą. Ta burza nasamprzód pchnęła go do Galicyi. Trzy lata przepędził we Lwowie, ztąd rzucił w świat pełen życia i siły poemat, wysnuty z życia ukraińskiego ludu. Mówimy tu o powieści *Zawerucha*; wpatrzmy się w ten utwór nakreślony jaskrawemi barwy, kipiący warem piersi młodzieńczéj. Oto początek, odmienny nieco od drukowanego tekstu, tak poeta przerobił go w rękopiśmie:

Zawerucha kozak młody,
Kozak z siebie, kozak z ojców,
Niepośledni śród mołojców,
Znaczny z siły i z urody,
            Do wszystkiego chwat.

Z sioła z koniem w step wyskoczył,
Bo u stepu miłą zoczył;
Z dziewczętami stała ona
Zadumana, zapatrzona
Gdzieś w stepowy świat.

Kozak wstrzymuje konia w pędzie, staje przed Rucianą, co gwarzy na stepie z drużkami. Czarnobrewa urzekła kozaka, wie o tém; dumna z tryumfu, na coraz nowe wystawia go próby. I teraz oto, ukazuje mu ręką czarną chmurę, przepływającą po nad szerokim stepem: „Przynieś mi, rzecze, szmat tej chmury a uwierzę wtedy że mnie kochasz."

Hulaj dusza! kozak krzyknął,
Koń z kopyta w świat popędził;
Nóg nie szczędził, tchu nie szczędził,
Coraz bardziéj krył się, niknął:
Tonął w morzu traw.

Burza rozszalała się tymczasem, ryknęła piorunami. Zawerucha nie zważa na nic, prześciga chmury w locie; pędzi w cwał, aż koń upada wreszcie pod nim.

Jęknął żałośnie kozak; jak w ryty w ziemię, stoi nad martwym koniem. Chmura wyczerpana z sił, przeleciała daleko... zapada noc; miesiąc otrząsa się z obłoków.

Potém miesiąc wstał rumiany,
Jak w kalinie wykąpany,
Wylazł z stepu w lazurową
Kąpiel niebios, tonął głową,
Mył się blaskiem zórz.
Bielusieńki smutny, cichy,
Swą łabędzią pierś osuszał,
Z złotym chórem gwiazd się ruszał
I w pachniące ziół kielichy,
Strząsał krople ros.

Zmienia się obraz. Zawerucha przemokły ulewą, żałosny po stracie konia, wstąpił na chwilę do gospody. Zasępiony siedzi za stołem. Naprzeciw niego zasiadł wędrowny czumak. Milczkiem, zpod oka, obaj spoglądają na siebie; wreszcie spotkały się ich źrenice, rozwiązały usta. Czumak odurzony trunkiem, potrąca w struny teorbanu; przy dzikiéj przygrywce, opiewa smutne dzieje rodu swojego. Ojca powiesili, bo hulał z Żelaźniakiem; matkę utopili, gdyż była czarownicą; brat bije psy w Bogusławiu, siostra wyprawia gody z pohańcami.

Wtém wchodzi do karczmy stary kmieć ukraiński: to znahor, ojciec Rucianéj. Włos jego siwy, lecz barki jeszcze krzepkie; w oku dobroć, na czole powaga. Poeta kreśli wierny typ kmiecia, opisuje dom jego, wylicza bogaty dobytek.

U znahora jabłek w sadzie,
Aż się jabłoń matka kładzie,
Pod ciężarem swego płodu;
Wysmuklejsza macierz grusza,
Z swym drobiazgiem w górę rusza,
I zagląda w oczy wschodu.
Słońca złotem się uśmiecha,
I w swój owoc wciąga złoto;
Bez krzaczysty wonnie wzdycha
A powoje wianki plotą,
Gęste płoty obwieszają,
I przed okiem zasłaniają
Wnątrz ogrodu... znahorowe
Różne trzody i chudoba,
Tłuste, gładkie, rosłe, zdrowe;
Cztery źrebce rżą u żłoba,
Ryczą w stajni cztery woły:
Jednym rykiem wszystkie doły
Ukraińskie zaludnione;
Drugim rykiem wszystkie góry;
Trzecim wody, czwartym chmury.
Chór z tych ryków, chór szalony,
Całym stepem, całą ziemią,
Całym światem wzdłuż, wszerz gada.
Ludzie na to słowem drzemią,
Echo za nich odpowiada.
Na barstanach śpią pokotem
To kawony, to melony,
Niby żółwie zmyte złotem
I szmaragdem.

Znahor baczném okiem zmierzył kozaka, odgadł smutek na jego czole. Pyta: co mu jest? Uwiadomiony o przygodzie, zaprasza go do chaty, wzywa téż wędrownego czumaka. W chacie tymczasem czuwa Ruciana, raz po raz przykłada oczęta do szyby; żali się smętną dumką:

Milczą wrota kalinowe,
Za wrotyma milczy droga;
Czekam, czekam ja nieboga,
O okienko wspieram głowę.
I po szybach łażę okiem;
I za szyby idę wzrokiem,
Mózg mnie boli nad oczyma:
Kozaczeńka niéma, niéma.

Matka pociesza córkę... próżno... nie oderwie jéj od szyby; wrota skrzypnęły wreszcie, wchodzi znahor, za nim czumak i Zawerucha.

Dziewczę pyta kozaka, czy przyniósł jéj płat chmury? Na wieść, że koń został na stepie, załamuje rączęta: onato przywiodła go do zguby.

Rodzice błogosławią młodéj parze; niebawem następują weselne gody. Czumak zostaje w chacie: on będzie drużbował na weselu.

Następny obraz ukazuje zaślubioną już parę młodą. Wszyscy szczęśliwi; czumak tylko snuje się jakby złowrogie widmo; czarna zawiść powstała w jego duszy: knuje zbrodniczy zamiar. Dnia jednego pod noc, wyprowadza na step kozaka: idą pogrzebać końskie kości. W chacie pusto, znahor w polu, znahorowa poszła po wodę do krynicy; Ruciana wybiegła po kalinę. Woń krwi krąży w powietrzu; ławy i stoły, ściany i belki, wiodą złowrogi, tajemniczy rozhowor. Wracają starzy, wraca Ruciana, kozak tylko nie powrócił z czumakiem. Pies żałośnie wyje, trwoga przejmuje serca. Ruciana drży jak listek. Zapada noc.

Chmury idą wciąż czarniejsze,
Bez powrotu, bez uśmiechu;
Noc, powietrze coraz lżejsze:
Nic nie cięży na oddechu.
    Puklerz złoty krwią oblany,
    Miesiąc w stepie wykąpany;
    Zawieszony na niebiosach
    Rosł po złotych w górę włosach.
I niósł w górę krwawe farby,
I niósł w górę wielkie skarby
Z pozaświecia; i w purpurę
Ubrał chmurę i wszedł w chmurę.
    Brylantowe blasku morze
    Zpoza chmurek się wylewa,
    I zielone stepu łoże,
    Wonném światłem się odziewa.
Jak z trupiego szpiku świece,
Gwiazdy płoną, ziemię głuszą;
Krągłe rosy z chmur się kruszą
I ściekają na ziół lice.
    Krzyż cerkiewny żegna chmury,
    Ciągnie orszak chmur ponury
    Ponad stepem, ponad siołem,
    Osypany skróś popiołem.
A na końcu chmura biała
Na step wbiegła, podumała;
Nad kurhanem jęła pływać,
Znów kozaka w przegon wzywać.
    Ale kozak już nie skory
    Do przegonu, i nie może,
    A dlaczego? hej! hej! Boże!
    Żal się! żal się! cyt!

Upiory
Od kurhanu ciągną tłumnie,
Na ostatku upiór nowy,
Ej! Kozacki? czy już w trumnie
Zawerucha?...

Psy wyją, pędzą na step gromadnie. Znahor wychodzi na podwórko, w komorze tymczasem, krwawy spełnia się dramat. Matka posłyszała głuchy jęk... Wbiega do komory, widzi córkę we krwi... Czumak całuje trupie lica Rucianéj i wpycha nóż w pierś własną; wreszcie zabełkocze chrapliwie:

„Na kurhanie, na stepowym,
Wasz znajomy we krwi leży;
Niech kto pójdzie, niech pochowa..."
I skonały dalsze słowa.

Stara matka poszła wnet do grobu za swém dzieckiem; za żoną poszedł znahor... i runęły zręby opustoszonéj chaty.

Na kozaczéj, krzyż, mogile
Wyrosł krwawo malowany,
Na cmentarzu krzyż Ruciany,
I dwa inne krzyże rosną,
Zielenieją zimą, wiosną.

Oto niewydrukowany epilog, znaleźliźmy go w rękopiśmie:

Była północ, cicha, głucha:
Psy zawyły jak na ducha.

Wiatr nocny zaszumiał po murawie cmentarnéj; pękły trumny, Zawerucha z Rucianą, z matką i z ojcem prowadzą zagrobowy rozhowór.

I Czumaka północ z łoża
Wyciągnęła. Wyszedł z ziemi,
W krąg oczyma rzucił złemi;
Jęknął, zgrzytnął, dobył noża:
Nożem piersi swe otworzył,
Wyjął serce, o ziem cisnął.
Na zdeptane łzami trysnął,
I napowrót w piersi włożył.
Ciało odział znów bezruchem,
Wewnątrz straszno męczon duchem.
O półnoenéj każdéj porze
Widowisko się powtarza,
Przyszła kara na zbrodniarza;
Przyszła kara, kiedyś może,
Miłosierdzie przyjdzie Boże.
Odbieranym blaskiem blady
Miesiąc smutno wchodził w morze,
I sprowadził gwiazd gromady,
Gdzieś na senne wziął ją łoże.

Wietrzyk ocknął się świtowy,
Pobiegł wszędzie, ruszył wszystkiem:
Każdą trawką, każdym listkiem;
Spędził z nieba chmur ostrowy,
Coś poszepnął stepom, błoniom,
Po bezbrzeżnym wionął świecie,
Jutrzenkowym łzom i dłoniom.
W dziw rozwinąć pomógł kwiecie,
I u złotéj bramy słońca,
Smutną powieść snuł do końca.

Zatrzymaliśmy się nad tą powieścią, ona bowiem odrazu postawiła Olizarowskiego w rzędzie poetów wielkiéj plejady naszéj. Znakomici krytycy, jak mówiliśmy już, wysoko ocenili ten utwór. Aleks. Tyszyński w *Amerykance* liczy autora do przedstawicieli ukraińskiéj szkoły; Michał Grabowski naznacza mu w téj szkole odrębne stanowisko. „Pan Olizarowski, mówi on, tém różni się od drugich, że nie szuka poetyczności ukraińskiéj, w dalekich od nas historycznych epokach, ale szuka jéj u dzisiejszego ludu, w jego obyczajach i charakterach narodowych. Tę poetyczność umié odkryć p. O., a oddaje ją wiernie i barwnie. Za sprawą tego poety, zajrzeliśmy w przyrodę powszedniego bytu, ludu ukraińskiego, kiedy dotąd znaliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiéj, lub poetyczność jéj historycznych wspomnień; ujrzeliśmy jego obyczaje, fizyognomią różnego wieku i stanu: grę moralnych skłonności. Zgoła p. O. wniknął głębiéj niż inni w gminną narodowość ukraińską, i dlatego przyznajemy, że o krok daléj prace swojéj szkoły posunął."

Wraz z Zawieruchą ukazał się drugi poemat: *Bruno.* Utwór to fantastyczny, w rodzaju *Dziadów* Mickiewicza. Nieodrodny syn czasu swego, poeta musiał uderzyć w tęż samą strunę, w którą potrącali słynni mistrze tego wieku: Goete, Chateaubriand, Byron, Mickiewicz, wydobywając z niéj tak różnobrzmiące dźwięki: *Werter*, *Rene*, *Manfred Gustaw*, to cztery posągi wykute na jednę modłę, a przecież o tyle odrębne od siebie, o ile był odrębnym psychiczny i narodowy charakter ich genialnych twórców. Bruno jest nowem wcieleniem tejże saméj idei; Grabowski przecież nie obwinia autora o naśladownictwo: „Że późniejszy poeta, mówi on, stoi na prądzie magnetycznym ducha wielkiego poety, który go poprzedził, który wszystko obok siebie ogarnia i opanowywa; że ten poeta późniejszy, nie odpiera całkiem tego ducha, ale jako jednorodnego przyjmuje go i wciąga w siebie, mam to za rzecz naturalną; a gdy widzę, że to nawet nasiąknięcie, wcale nie zatarło jego samoistności, i utworowi pozwoliło mieć indywidualne oblicze: widzę w tém dowód prawdziwego powołania poety, i nie mieszam go z tłumem naśladowców."

Rzućmy teraz okiem na fantastyczną powieść. Posępny Bruno, dziwak, odludek, snuje się jak zagrobowe widmo wśród wytwornéj mło-

dzieży, która go nie rozumie, i szyderczemi chłoszcze pociskami. Kocha on Kamillę uczuciem równie gwałtowném jak nieśmiałém. Zazdrość pożera mu serce; popchnięty nią wyzywa przyjaciela: zabija go w pojedynku. Po dokonanéj zemście ogarnia go szalona rozpacz; sen nocą odbiega mu od powiek. Kiedy dręczony wyrzutem, szamocze się sam z sobą, raz o północy, duch Ostafiego wchodzi w progi, staje ponad jego wezgłowiem.

— Powiedz, czemu zepchnąłeś mnie ze świata?—zapytuje Ostafi. Na to odpowie Bruno:

— Zdjąłem z ciebie
Młodziuchne życie, a nakryłem siebie
Starą zgryzotą. Tak mści się morderca:
Ja nie tak chciałem! Myśl była: on moje
Skończy dziwactwa, męki, niepokoje;
On zręczny, jego wystrzał niezawodny,
Weźmie to ciężkie serce, a swobodny,
Lekki mój oddech i duch mój szalony
Z wiatrem uleci w takie świata strony,
Gdzie się przynajmniéj kończą ziemskie smutki.

Potém Bruno wyrzekł imię Kamilli. Ostafi zarzeka się, że nigdy jéj nie kochał. Wtém jutrzenka zabłysła, kur zapiał; czas upiorowi powracać do mogiły: za rok ukaże się znowu. Poranek odmalowany przecudnym kolorytem.

...Bruno opuścił ciężące
Czoło na ręce i usnął: na spiące
W nieładzie włosy, słońce przezroczystą
Garścią sypnęło złoto przerobione
W światło poranku. Z razu było czysto
W powietrzu. Niebo nowonarodzone
Liliowemi, świeżemi oczyma
Patrzyło na świat. Ziemia odetchnęła,
Skoro promieni słońca w usta wzięła;
Zdało się, że już dłużéj nie wytrzyma,
Wstanie, i pójdzie ku słońcu lubemu.
I wydało się oku śmiertelnemu,
Ze ziemia wstawać zaczynała mgłami;
Lecz mgły wzleciały szaremi skrzydłami,
Pod niebo: ziemia została na ziemi.
. . . .
Mgły naśladują w górze niskie morze,
A słońce jakby było ich korabiem;
Powolne wały coraz słabiéj porze:
Nakoniec całkiem na siłach opada,
I tonie we mgłach. Zwycięzka mgła siada

Na horyzoncie, odwdzięczając ziemi
Za pożyczoną wilgoć, rzęsistemi
Perłami deszczu skrapia jéj klejnoty...

Przypatrzmy się teraz Kamilli: postać to zwyczajna, jakich wiele, bańka mydlana, wydęta gorącém tchnieniem poety, błyszcząca chwilę barwą opalu, a w rzeczywistości mętna pianka, nic więcéj! Serce jéj przemówiło i wnet umilkło; nad uczuciem przemógł zimny rozsądek. Później hołdy wielbicieli rozbudziły w niéj próżność. Świetna róża przyciąga rój motyli, wybiera z nich jednego; chłodnemi usty przysięga wieczną wiarę: dotrzyma jéj: tak chcą światowe względy.

Niektórzy widzą w Brunonie osobistość samego poety, w Kamilli jego wymarzony ideał. Zawód doznany w pierwszém a gwałtownem uczuciu, miał według nich napoić goryczą jego serce, uczynić go dziwakiem i odludkiem. My niepodzielamy tego zdania, a mamy słuszne do tego powody. Że młody zapaleniec mógł, po opuszczeniu Galicyi, żywić w piersi ukryty płomień, długo kipiący lawą, to nie ulega dla nas wątpliwości; zanadto pilnie wczytywaliśmy się w tysiące pozostałych po nim świstków, abyśmy powątpiewać o tém mogli. Wyrwany gwałtem ze Lwowa, po trzyletnim pobycie, zostawił on tam cząstkę własnego serca; dlatego zimném okiem poglądał na wdzięki obcych dziewic, jak to sam wypowiada:

Od cudzoziemki duch się mój odwracał,
Od cudzoziemki, odganiała muza;
Na Ruś, do Polski, szlak duszny się złacał;
Tam mój Awinion, tam moja Wokluza:
Tam był mój Eden...

Zimna, zalotna, chciwa hołdów Kamilla, mogłać być Laurą naszego poety? Dyskretniejszy, bardziéj zamknięty w sobie niż Petrarka, nigdy nie ośmiela się nazwać ukochanéj po imieniu: czasami tylko, w ulotnéj zwrotce, spotykamy jasną jéj postać:

O tobie śpiewam, dziewico,
Licem, postacią urocza,
Złotą kaskadą warkocza,
I turkusową źrenicą.

Inna pieśń, nakreślona zapewne przy wyjeździe, zda się być smętném pożegnaniem: dajemy ją w całości.

Anielstwa pełna duszy dziewico,
Jakążto myślą, oczy twe świecą?
Cóżto za kwiatek ujęłaś w dłonie?
Czemu tak smutno pochylasz skronie?
  Tak, to mój kwiatek, kwiatek pamięci,
Nad wszystkie inne u mnie się święci:
Czemu go, czemu wzięłaś do dłoni?
Niechby dokwitał w téj tam ustroni.

Porzuć ten kwiatek! on pamięć budzi,
A tam dokoła śmiech i sąd ludzi;
Czuj co innego sercem niewinném,
Anielską duszą myśl o czem inném.
Syn ja niedoli! ach! bądź ostrożna,
Dosyć już dla mnie... więcéj nie można:
Dla mnie wystarczy na całe życie
Twa myśl, ten uśmiech pączka w rozkwicie.
Z myślą twą o mnie, z tym dyamentem,
Na duszy mojéj świecącym wiecznie,
Wzlecę nad ciemnym świata odmętem:
Pośród złych duchów przejdę bezpiecznie.

III

Po trzyletnim pobycie w Galicyi, poeta zmuszony opuścić Lwów, rzucony burzą pod obce niebo, uczuł boleśnie swe sieroctwo i osamotnienie. Zawarty w sobie, dziki z natury, bardziéj jeszcze spochmurniał; gorzko maluje ten stan ducha:

Ze światem ludzkim zerwane już związki:
Odpadłem jako owoc od gałązki,
W którym swe robak domostwo założył.

Jedyną wtedy osłodą starganego życia, jedyną towarzyszką niedoli, była dla niego ta pieśń, od któréj pozytywny Zaklika pragnął oderwać go w Krzemieńcu, powtarzając z pogardą: i do czegóż doprowadzą cię wiersze? Poeta nasz nie pytał o to; pieśń była potrzebą jego duszy, silną tarczą przeciw rozpaczliwéj tęsknocie. Co chwila odwołuje się do niéj:

Z cichą łzą żalu, z głuchym w piersi krzykiem,
W świat się puściłem zmuszonym pątnikem;
Po drodze-m śpiewał w serdecznéj potrzebie,
Rzucając pieśni z uśmiechnieniem dzikiém,
Jak sztuczne ognie na zgaśnięcie w niebie,
Albo jak listki, jak piórka, jak puchy,
Pomiędzy ludźmi wichrom na rozdmuchy.
O, pieśni moje! którem poubierał
W perły méj duszy, w serca mego kwiecie,
Stało się z wami, co zemną na świecie:
Świat mnie wydobył ze swoich skrytości,
Wywiódł na światło ze swoich ciemności;
Dał swoje ciało i swoje przymioty,
Dał złote skrzydła i sen dał mi złoty;
Umysł zaludnił myślami pięknemi,
I uczuciami zbogacił me serce;
Potém to wszystko oddał poniewierce,
Na zagrzebanie gdzieś na obcéj ziemi!

Sam chyba Dante szedł podobną drogą,
W swym śnie piekielnym!

W Londynie Olizarowski przebył lat dziesiątek, w zawziętéj walce o chleb powszedni. Znajdujemy w notatkach krótki ale bardzo treściwy obraz działalności jego w zamorskim grodzie: „Byłem dyrektorem towarzystwa 3 maja w Anglii, wiceprezesem grona historycznego w Londynie; członkiem komitetu Towarzystwa ubiorczego, i sługą w tabacznym sklepie Izdebskiego: to ostatnie broniło mnie od głodu."

Pełen energii młodzieńczéj, nieraz wierszem humorystycznym przywodził do zgody rozdrażnione umysły. Na jeduém zebraniu londyńskiem, zaszło jakieś sporne pytanie, nad którém głosowano. W mniejszości znalazł się rodak nazwiskiem Palma. Wynik głosowania rozjątrzył obecnych. Olizarowski przewiduje burzę, aby ją zażegnać, odzywa się dwuwierszem:

Jedna strona do drugiéj niepotrzebny żal ma,
Bo gdy na téj zwycięztwo, to na tamtej Palma!

Śmiech powszechny odpowiedzią był na te słowa: zgoda nastąpiła niebawem.

Wśród tych rozlicznych zajęć i obowiązków, pieśń wierną była towarzyszką poety. Zawijając tabakę lub cygara marzył o *swéj jedynéj*, jak zowie drogą lutnię, utyskując, czemu tak sposępniała?

Lutni ma młoda,
Ktoby zmiarkował po twoim dźwięku,
Żeś w młodém ręku?
Cała mi ulga w twoim podźwięku,
Jedyna moja w tobie osłoda,
Lutni ma młoda!

W Londynie wyśpiewał poeta mnóstwo pieśni, dźwięk ich energiczny, czasem szorstki i dziki; znać boleść wyrywała je z głębi serca. Jedne z nich rzucone w świat, ukazywały się to w Wrocławiu, to w czasopismach poznańskich: inne spoczywały w tece poety. W drukarni londyńskiéj wydał zbiorek *Egzercycye poetyczne*, i opowieść wierszem, pełną twórczéj siły: *Krzyż na Peredylu*, wysnutą z tatarskich napadów na Ruś. Poemat ten, ogładzony z pierwotnéj chropowatości wyszedł z druku powtórnie p. t. *Topir-gora*. Wiele tu dziwnie pięknych, tryskających życiem obrazów; przytaczamy ostatni:

Nad zgorzeliskiem krążą jaskółki,
Po łące brzęczą muchy i pszczółki,
Odświeżające kwiatów kielichy;
I kwilą czajki, i laskonogi,
Stąpa gość bocian, poważny cichy.

Tumany kurzu wiatr zwiewa z drogi,
Na stawie pluszczą złocone fale;
Kwaczą kaczory i huczą bąki,
W sadach słowiki głoszą swe żale:
W niebiosach polne dzwonią skowronki.
Zgliszcz sioła strzegą spalone słupy,
Po polach leżą tatarskie trupy;
Przy nich i na nich psy, wrony, kruki,
Prężą się, szarpią i rwą na sztuki:
A nad tém wszystkiém wyciąga z chmury
Kamienne ręce, krzyż z Topir-góry!

W roku 1845, Olizarowski opuścił Londyn; z teką pełną pieśni i planów, z sercem pełném młodzieńczego żaru przybył do Paryża. Spotkał tu nie jednę bratnią duszę. Autor *Zamku Kaniowskiego*, z zachwyceniem wyrażał się o jego utworach, Bogdan odczuł w nich dźwięk ukraińskiéj nuty. Mickiewicz w liście do poety nakreślił słowa, które napełniły serce jego niewymowną rozkoszą. „Czytałem wiersze twoje, oblałem je łzami bratniemi!” pisał autor *Wallenroda* do autora *Zawieruchy*. Słowa te cytuje Olizarowski w przypisie do jednego z późniejszych poematów. Wiele osób żyjących dotąd czytało ów list, przeszedł on do zbiorów Karola Sienkiewicza; nie wiadomo jednak, co się z nim stało. Rodzina wielkiego naszego wieszcza nie mogła wydobyć go z tych zbiorów, dlatego zamieszczonym nie był w wydanéj korrespondencyi.

Smutnéj pamięci rok 1846, zapisany krwią w dziejach naszych, głęboko wstrząsnął Olizarowskim, z piersi jego wydobył nowe dźwięki. Mamy przed sobą cały zbiór ówczesnych pieśni i poematów, drukowanych to w czasopiśmie tutejszém, to w zbiorze *Woskresenki*. Musimy zostawić je na boku; powiedzmy tylko, że krytycy nasi tak porywczy w sądach, a tak skorzy do strącania wieńców, którzy nie śmiejąc przeczyć Tyszyńskiemu i Grabowskiemu, dowodzili przynajmniéj, że Olizarowski nie dotrzymał położonych w nim nadziei; powiedzmy, że ci krytycy odwołaliby sąd swój, gdyby znali całość prac znakomitego poety. Z okruchów, jakie dobiegały ich, wyrokować o wszystkiém niepodobna. W owychto *Tyrtejkach* i *Woskresenkach*, żywo podzwania echo proroczych słów Skargi i Woronicza. Jakiżto dźwięk metaliczny w tych słowach:

Choćbym miał ściągnąć wszystkich nienawiść na siebie,
Choćbym miał żyć o łzami rozmiękczonym chlebie,
Ni przeto się ulęknę, ni odpuszczę ducha:
Nie zamrze w piersiach moich boleść ni otucha.
Mam swą moc, powołania swego nie omylę;
Mnie szczęście się należy: nieszczęście przesilę.

Poeta śpiewa na różne tony; nuta sarkastyczna pobrzmiewa nieraz w jego pieśni, biczem słowa chłoszcze bezmyślnych i odrętwiałych,

zowie ich chodzącemi grobami. To znów utyskuje na zimny materyalizm, roztaczający skrzydła ponad światem, ścinający w lód serca.

Świat piękniejszy dziś na oko,
Dola więcéj dziś ma dróg;
Lecz pytanie tłumy wloką:
Gdzie jest szczęście? gdzie jest Bóg?
Na pytanie odpowiada
Świst parowców, machin ryk;
Szał piekielny życiem włada,
Spokojności anioł znikł.

. . . .

Gdzie się oczy zwrócą ninie,
Jaka ciemna w przyszłość droga;
Złoty cielec zamiast Boga,
A dokoła serc pustynie.
I dopókiżto tak będzie?
Czy żywota włókno czarne
Już się nigdy nie wyprzędzie?
Krew, łzy, trudy, wszystkoż marne!

Nigdzie poeta nie podniósł silniéj głosu, jak w odezwie do Seweryna Goszczyńskiego. Rozpaczliwe milczenie brata w pieśni, cięży mu boleśnie; piorunem słowa usiłuje zbudzić w nim twórcze siły. Oto wyjątek z poematu *Wieszcze desiderium.*

Wołałeś: „odejdź! odejdź już odemnie,
Duchu boleści!" wołałeś daremnie.
Wołałeś: „dość już! przestańcie me wargi,
Dobywać płonnéj z serca mego skargi!"
Z warg twych, z twych piersi żal wybuchnął nowy,
A ja ci mówię, posłuchaj méj mowy.
Głos dla słów, słowa dla głosu nam dane,
I waga słów jest i wartość zasiane;
Słowami, czasy wydają owoce
Prawdy lub kłamstwa. Ty w kłamstwa epoce,
W epoce zbrodni dostałeś nasienie
Prawdy i cnoty; dostałeś słów ziarna,
Abyś z nich czynił dla prawdy odzienie.
Tobie nie pytać, czy siejba nie marna.
Żołnierzu prawdy! słowo twym orężem,
Twoim żywiołem, twojém przeznaczeniem;
Ty wobec zbrodni masz być cnoty mężem:
Tobie wygodném pogardzać milczeniem!
Co na uczynku schwycisz w sercu, w mowie,
Uczucia z ognia do wylotu rwane,

Myśli na skrzydła ducha w głąb gdzieś brane:
To wcielaj w słowo i wyrzucaj w słowie.
Wyrzucaj słowa na świat, jak wyrzuca
Ognie i ryki ziemia przez swe płuca,
Wyrzucaj słowa, choćby samę fraszkę
Mieli z nich ludzie i wichry igraszkę;
Choćbyś sam za nie, tylko smutków nowe
Warstwy naciągnął na serce, na głowę.
Płonność i marność! wyrzuć te wyrazy
Na serc pustynie, na wichry, na głazy;
W przyszłość słów wieszczych wierzyć nie przestawaj,
Milczeniem słowom zarastać nie dawaj,
A jęcz, a wołaj, a krzycz w niebogłosy:
Jękiem i krzykiem zasiewaj niebiosy.

Tajemne serca rozwierając głębie,
Uczuć wzruszonych zapłacz wrzącą lawą;
Wypuść na wolność pieśń Walkiryę krwawą,
Orłem krzyczącym, zbudzonym na zrębie
Praw bosko-ludzkich; lwem ryczącym, głodnym,
Wilków wyjącą gromadą zimową;
Niech z twoich krzyków stanie się przestroga,
Niech w twéj przestrodze słyszy się głos Boga.
Wołaj o prawdę i o sprawiedliwość,
Wołaj o rozum zdrowy, o poczciwość;
Wołaj o zgodę uczynku ze słowem,
I słowa z myślą, a myśli z miłością
Świętą, zrządzoną przykazaniem nowém.

. . . .

Psalm twego życia jeszcze nie skończony,
Męcz się wołaniem, aż ci Bóg pozwoli
Złączyć się głosem, z tym jasnym aniołem,
Co się unosząc wiecznie nad padołem,
Wciąż śpiewa: „Pokój ludziom dobréj woli!"
Promienny służbą staniesz tam, przed niebem,
Czas zdejmie z ciebie przeznaczenia ołów,
Świat ciebie uczci feniksa pogrzebem;
I wydobędziesz ze swoich popiołów,
Skrzydła żywota nowego, któremi
Mierzyć się będziesz z wiekami wszystkiemi.

Do téj epoki wielkich polotów ducha, należy poemat Softy, wysnuty z dziejów hebrajskich: bohatérem jego Samson. Z potężną siłą i namaszczeniem poeta trąca w struny harfy Syońskiéj. Wiersz biały i rytm przypomina pieśń Wajdeloty. Obrazy wschodnie oddane z całém bogactwem kolorytu. Oto wspaniały obraz nocy:

Gwiazdy promiennookie, z drżeniem, oczyma aniołów,
Przypatrują się ziemi. Ze swych przybytków wysokich,
Wyszedł księżyc czerwony, stanął za gajem oliwnym,
Niby pożar w pustyni, jakoby słońce w zapadzie.
Przyzwan do tronu nocy, rozwarł na sobie szkarłaty.
Blady, podniósł się w górę, z białym na twarzy uśmiechem;
Sądził gwiazdy na niebie, sądził żywoty na ziemi,
Dobrym duszom posyłał w gości anioły cieszące.
Ciałom dobrym sny rajskie, głowom marzenia rozkoszne,
Kwiatom kazał dań znosić, gwiazdom opłacać dań kazał:
Kwiaty wonność dawały, gwiazdy płaciły im za to
Drogiemi rosy perłami, co na promieniach im rosną:
Kwiat nieposłuszny usychał, gwiazda jałowa padała.

Daléj uderza inny, równie wspaniały obraz zbudzonego poranku.

Twarz jasna twoja, o słońce!
Wyszła od pustyń Eufratu, śmiejąc się cudem do świata,
I ziemia wtedy ubrana w szaty swe letnie, bogate,
Na górach i na dolinach pięknie się z tobą witała.
Jeleń złocił swe rogi twarzy twéj złotem, sarneczki
Biegły do zdrojów uciesznie, koźlę igrało z koźlęciem;
Na pagórkach wesołych pasły się stada owieczek:
Na dolinie się pasły stada jałowic i ciołków.
Milczały trzciny grające, smutek oniemiał skotarzy,
Sępił się rolnik judejski, patrząc na uśmiech pszenicy;
Zmilkły harfy na górach, zmilkły cynnory w dolinach,
Radość skrzydła zwiesiła, szata się ludu rozdarła.
Spadło mu z głowy nakrycie, siadł na popiele i płakał,
A ujarzmiciel urągał w gajach Bersaby oliwnych,
Cieszył się z łez Izraela, pysznił się z jego niewoli.

. . . .

Tu rozwija się dramat: Samson patrzy z boleścią na klęski ludu swego, klęski, które on sprowadził nań winą własną; woła upokorzony:

Mądrości moja człowiecza, przecz-li ty zemną niebyła,
Kiedym na Sorek dolinę biegł za wdziękami Dalili?
Jak oni łowce przemyślni, żeby lwa dostać srogiego,
Z siećmi czekając nań w gaju, puszczą sarneczkę w dolinę:
Ta uciekaniem do gaju, lwa przyprowadzi za sobą,
I odda sieciom łowieckim: tak i mnie moja sarneczka
Oddała skrycie zmienionym! O! zawiniłem przed Tobą
Panie! znowu zbudziłem gniew Twój i znowum ukaran
Zdradą umiłowanéj; lecz żal mój większy niż wina,

A miłosierdzie Twoje większe niż gniew Twój! Spoglądnij,
Abym się pomścił zniewagi, krzywdy, kalectwa i zdrady!
Adonaj! nie broń mi pomsty! Boże mych ojców, bądź ze mną!
Między Filistynami mowa ta wrzawą wybuchła,
U jednych błyszczał śmiech w twarzy białemi zęby; u drugich
Gniew się rozsrożył oczyma. Jedni mówili: „błaznuje!"
Drudzy: „on pomstą nam grozi!" Wszyscy więc wrzawę czynili.
Rzesza krzyknęła: „śmierć mu!" „Śmierć mu!" krzyknęli książęta.
Wszyscy z miejsc się ruszyli, a wtem się Samson odezwał,
Głosu piorunem zawołał: „Biada wam Filistynowie!
Koniec naigrawaniom! Koniec sromocie i nędzy!
Włosy moje odrosły! lwy do mych ramion wróciły,
Pan mój jest ze mną! Śmierć wam! Adonaj, przyjmij mą duszę."
To rzekł i zatrząsł słupami, siłą wulkanu straszliwą:
Łamią się gmachu podpory, pęka strop, ściany pękają;
Gmach cały wali się w złomy, wali się z gromu łoskotem,
Z krzykiem tysiąców zmieszany, gruzów spokojnych legł kupą;
Społem z gruzami świątyni, wszystko umilkło na zawsze,
I Samson umilkł na zawsze, społem z gruzami świątyni.

Olizarowski wystąpił wreszcie na polu dramatycznêm. Pomijamy pierwsze próby, a przystępujemy odrazu do dramatu historycznego, który zwrócił pilną uwagę znawców. Wziął on za przedmiot chwilę stanowczego przełomu w dziejach naszych, kiedy pycha i samowola podniesiona do zenitu, w osobie ostatniego możnowładzcy Wincentego z Szamotuł, czynią go zdrajcą kraju i wywołują krwawy odwet szlachty mazowieckiéj.

Rzutny wojewoda, odtrącony od czci i wiary przez króla Łokietka na walnym zjeździe w Chęcinach, poprzysięga mu zemstę. Rzecz rozpoczyna się monologiem: przeniewierca usiłuje usprawiedliwić się w własnêm sumieniu:

Wobec tysiąców, obrać z władzy, z cześci,
Stwierdzić trąbione o mnie złe powieści;
Państwa swojego uczynić zakalcem,
By mnie bezkarnie wytykano palcem;
Wśród nieprzyjaciół tylu mnie rozbroić,
Zranić mnie w mojéj zasłużonéj dumie;
Zranić mnie w sercu, w duszy i rozumie:
Nie, taka rana nie da się zagoić!
. . . .
Niech umrę z nędzy, jeśli puszczę płazem!
Lecz kogo użyć za pomsty narzędzie?
Luksemburczyka niéma teraz w domu,
Na Rusi niéma co i mówić komu;

Litwy z borsuczéj nie wyruszyć dziury:
Za lisi ogon łapać Brandebury,
Szkoda fatygi: przyjdą na gotowe;
Z Węgrem dziś ani wdawaj się w rozmowę:
Teściowi swemu oddan z bebechami [1]),
Do ładu trudno trafić z Mazurami;
A chańskich strzemion nie myślę całować!
Orężne mnichy? (*po chwili milczenia*) Jak potém odegnać?
Lecz o tém potém...

I wojewoda przywołuje rycerza: wyprawia go tajemnie do Maryenburga do mistrza krzyżackiego. Ale nad wojewodą czuwa anioł stróż w postaci córki jego Bożenny. Gońcem wojewody jest młody rycerz Ładon. Piękna, ukochana przez niego Bożenna, będzie nagrodą za niebezpieczne poselstwo. Córka tymczasem odgaduje zamiar ojcowski; odwraca Ładona od uczestnictwa w zdradzie: wyprawia go do Krakowa.

„Jedź, rzecze, co tchu, stań odważnie przed majestatem:"

Król mnie odmówić łaski swéj nie może:
Trzymał mnie do chrztu; na krakowskim dworze
Przy swojéj Halszce królewskiéj umieścił,
Jak drugą córkę miłował i pieścił;
Dał ten pierścionek z relikwią i mocą
Niezawodnego otrzymania, o co
Błagać go będę. Ukaż ten pierścionek
Na znak pokoju, jako mój małżonek
W imię małżonki, błagaj przebaczenia,
A ostrzeż króla, że na kraju szkodę,
Niełaską swoją pana wojewodę
Zapędzi w rospacz...

Ładon pośpiesza do Krakowa.

Zapadła noc; chmury grubym całunem przysłoniły widnokrąg. Wojewoda wściekły z gniewu i nienawiści, utopił oko w czarną przestrzeń.

Zatrąbcie wichry w swe bębny i kotły!
Uderzcie gromy; tańczcie błyskawice!
Zagraj przyrodo z hukiem i szelestem,
Z rykiem i szumem!

Przybywa komtur Herman z Elbląga. W imieniu mistrza przyrzeka wojewodzie berło i tron. Wincenty z Szamotuł odtrąca z pogardą łaski niemieckie; dumną odpowiedź rzuca w oblicze komturowi:

---

[1]) Elżbieta córka Władysława Łokietka, była za Robertem królem węgierskim.

Zemstę przysiągłem; w zemście jeno moje
Cele, pociechy, tytuły i chwały;
Nowych zaszczytów bynajmniéj nie pragnę,
Ale powrotu do dawnych, i jeśli
Dyabli mnie w piśmie aż do was ponieśli,
Jeśli pod mistrza rozkazy się nagnę,
To nie dlatego, żeby mi tam łaski
Jakie świadczono, nakładano blaski
Swoje niemieckie! Nie, nie o to chodzi!
Mistrz się omyli, jeśli działać zechce
Jakby łaskawca, jakby mój dobrodziéj!
Do spółki wzywam, tytuł mnie nie łechce;
Krom zemsty niéma, niéma innych dla mnie
Łask i tytułów! Chcę tylko przynajmniéj
Pół Polski spalić, wyciąć w pień i zburzyć
Wawelski zamek i smoka wykurzyć.
A potém w kaptur schronić się przed światem:
Masz moję spowiedź!

Uradowany komtur śpieszy z wieścią do Maryenburga. Bożenna jawi się znów przed ojcem jak anioł dobroczynny.

— Czego tu chcesz?—zakrzyknie wojewoda.
Bożenna. Anioł nasz własny, zemną się sprzymierzył,
Obronę cnoty naszéj mnie powierzył.
Stawię się przeto zbrodni na przeszkodzie,
Od krzyku mego, wszystkie się w narodzie
Serca rozbudzą. Rozbudzonym groby
Pomagać będą! Mnie będzie moc dana:
Dobro zwycięży!
Wojewoda. Zmilknij opętana!
Ja wiem co czynię... Swojéj pilnuj cnoty,
I swego serca. W doniczce lilija,
W komorze krośna, to twoje klejnoty;
Czepiec nie szyszak, igła nie kopija,
Kokosz nie kogut.
Bożenna. I niewieście słuszna
O dobrą sławę dbać swojego rodu.
Wojewoda (*z gniewem*). Idź ztąd precz! mówię. Co znów? nieposłuszna?
(*wyrzuca ją za drzwi*).
Bożenna (*za drzwiami*). Umęcz mnie panie ojcze, odbierz życie,
Kleszczami wyrwij moję duszę ze mnie;
Albo mnie w wieży zarygluj na zgnicie,
Niech tylko głos mój nie przejdzie daremnie!
Rzuć w przepaść zdradę: nie kończ hańby dzieła!

I Bożenna odchodzi na modlitwę. Duchy przodków z klątwą na ustach ukazują się wojewodzie. On waha się napół złamany. Duchy

znikły, jeden tylko pozostał, straszliwszy nad inne. Z jego pochyłego czoła wygląda czarna myśl, niby smok w jaskini. Wzrokiem przeszywa nawskroś!... To duch jego własny, duch nienawiści i pomsty.

„Nie oglądaj się na nic!"—woła widmo ponurym głosem. Grom z błyskawicą odpowiada mu w górze.

Wojewoda porywa za róg, dzwoni pobudkę. Rycerstwo przywtarza chórem dziarską pieśń, ostrą jak poszczęk stali:

Hej woje! woje! lackie kochane,
Już dniowe zorze, drżące zabłysło,
Rżą konie w rozgłos bujny nad Wisłą:
Po rosie skomlą trąby miedziane.
Chór. W miękkie teleje, barków nie chowaj,
Piersi obrosłe w twardą stal chowaj;
Kołczan na plecy, szyszak na skroń,
Paiż na ramię, kord lub grot w dłoń,
I niech Bóg zdarzy—na koń! na koń!

Hejnał obozowy rozlega się szeroko po przestrzeni: tu koniec części pierwszéj. Druga przenosi nas do klasztoru Owińskiego, dokąd ojciec odesłał dla bezpieczeństwa Bożennę. Pojawia się Ładon wracający z Krakowa; wydziera dziewicę z rąk krzyżaków, którzy napadli i zrabowali klasztor. Zmusza ich do ucieczki. Zakonnice pod strażą wyprawia do Ołomuńca, sam z Bożenną, przebraną za młodego rycerza, pośpiesza pod Płowce, do obozu wojewody.

W następnym akcie Ładon stawia się przed wojewodą, zdaje sprawę z poselstwa swego: wyznaje że był w Krakowie. Król gotów przebaczyć wiarołomstwo, przyciągnął już z wojskiem pod Płowce, naznacza w lesie miejsce schadzki. Serce wojewody zmiękło jak wosk, na wieść o łaskawości monarszéj. Pośpiesza tajemnie do króla, stopy Łokietka oblewa łzami; staje w bitwie pod chorągwią królewską: przyczynia się dzielnie do słynnego w dziejach tryumfu nad zakonem.

Epilog prowadzi nas w mury Łęczycy.

Wojewoda zrzekł się dobrowolnie wszelkich wielkości ziemskich; myśl zadosyćuczynienia za winy, wyłącznie opanowała jego duszę. Wyznaje to córce i Ładonowi, w którym błogosławi przyszłego zięcia:

Powiem wam oto, czemuśmy w Łęczycy:
Co się tu stało, niéma tajemnicy;
Mojémto dziełem te zgliszcza sterczące,
I te popioły stosami leżące,
Zpod których głosy do nieba się wznoszą,
O wymierzenie słusznéj kary proszą!
Tu za rzekomie obrażoną butę
Wywarłem zemstę: tu zacznę pokutę.

Nasamprzód z wami, dzieci moje, skończę,
Węzłem małżeńskim jutro was połączę;
Na szczęście wasze popatrzę; dam dzięki
Bogu za łaskę, wezmę kij do ręki,
I pokazaną drogą przez pielgrzymy,
Sam się powlokę do Jerozolimy.
Tam ze swéj duszy brzemię grzechów zrzucę,
Tam zmartwychwstanę w mym wiecznym żywocie;
Może pomyśléć da Bóg o powrocie,
Może powrócę: jeśli nie powrócę,
Wy tu méj duszy niebo otworzycie.

Córka i Ładon błagają ojca, aby pozwolił im iść z sobą: starzec wzbrania się.

— Z wami, rzecze, ta pielgrzymka byłażby dla mnie pokutą?

Nagle powstaje zgiełk poza warowną bramą. Chmura szlachty w łachmanach, z torbami na ramieniu, oblega zamek, wali z łoskotem w bramę: pękły wrzeciądze. Słychać okrzyki i przekleństwa.

Głos z tłumu. Daléj, daléj!
Wysadźmy drzwi te!
(*Pękają rygle od komnaty*).
Teraz zemsto szaléj!
Król mu przebaczył, ale torby nasze
Nie przebaczyły... Hej, za mną!... pałasze,
Zaszczękły oręże: krew wytrysła z piersi wojewody.

Próżno Ładon zasłania go ramieniem; i on tarza się we krwi... Bożenna omdlała upada na ziemię.

Legł wojewoda: z nim razem skonało możnowładztwo.

Szlachta tryumfuje; nowa faza rozpoczyna się w dziejach.

Przytoczone wyjątki dają poznać barwny, pełen siły język poety żywcem wyrwany ze starych kronik, a przecież jasny, dostrojony artystycznie do dzisiejszego tonu, nie przeciążony archaizmami. Postacie wszystkie pełne życia, nacechowane piętnem swego czasu; głęboka wreszcie znajomość dziejów i polityki ówczesnéj: wszystko to naznacza utworowi temu niepospolite miejsce w literaturze naszéj.

Pierwotnie dramat kończył się pod Płowcami; w ostatnich dopiero latach, autor zamienił go w trylogią.

IV.

Szumcie palmy północne, sosny niebotyczne,
Zbudźcie spiące bólami dumy poetyczne!
O, szumcie! jak rozległy, jaki szum wspaniały!
Jaka pieśń! jaki chorał! jak wielka pieśń chwały,

W tym chorale największym po chorale morza
Odbrzmiewa, godna Boga, wielka chwała Boża.
Oceanie! zachwycaj Child-Haroldów, którzy
Lubią z okrętu słuchać chorałów twéj burzy:
Ja wolę, matko ziemio, twoje polskie sosny.
Oczy z nich biorą w zimie przypomnienie wiosny,
A samotne, a tęskne, zmieszane z ich szumy,
Aż do Boga dolecą powołyńskie dumy.

Poeta zamieszkał w Turwi u generała Chłapowskiego, tu przepędził trzy lata, może najswobodniejsze w burzliwém swojém życiu. Pracował bezustannie, cisza wiejska odpowiadała usposobieniom jego duszy; samotne przechadzki najmilszém były mu wytchnieniem. Nieraz widywano go jak dumał, zapatrzony w trawkę kiełkującą w ziemi, po wiosennych roztopach, jak pochylał czoło przed staremi dębami, świadkami dawnych czasów. Z upodobaniem zrywał bławatki i macierzanki polne. Szczera miłość łączyła go z ludem wiejskim, przebywał z nim chętnie, podnosił jego wielkie zalety; szanował w nim prostotę i tradycyjne obyczaje: kochał go duszą całą.

Skrzepiony w żywotnéj atmosferze wyśpiewał w Turwi mnóstwo pieśni: tworzył powieści poetyczne, rozczytywał się w kronikach, kreślił plany historycznych dramatów. Wówczasto z podań ludowych wysnuł obszerną powieść w dwunastu pieśniach, p. t. *Złote Jabłka*. Główną osobą poematu jest Wozna z Turek, królowa czarownic. Poeta w żywych obrazach maluje piekielne sprawy wiedźm, ich powietrzne wędrówki na miotłach, ożogach i łopatach, ich sabaty, ich uczty z szatanami na Łyséj górze. W końcu jednak, z oczu Wozny wyciska łzy pokutne, z serca jéj gorącą wydobywa modlitwę. Myśl wiekuistego potępienia przejmuje go zgrozą, woli zatem skończyć powieść w mniéj tragiczny, a bardziéj ludzki sposób.

Wolałem przeto wziąć bezwzględne tory,
I w chrześciańskie wniknąć tajemnice,
I wywieść na jaw, że nawet potwory,
Jak te żyjące z dyabły czarownice,
Wrócić do Ojca, kiedy zechcą, mogą,
Świętą miłości i pokuty drogą.

Powieść ta zaczerpnięta z żywiołu ludowego, bardzo przypadła do smaku Bogdanowi Zaleskiemu; z chlubą wspomina to Olizarowski.

Z pomiędzy rozlicznych obrazów składających całość poematu, uderzył nas wyborny obraz pani Twardowskiéj; przytaczamy go cały:

Była to wzrostu średniego kobiéta,
Piwonia twarzą, oczyma orlica;
Gębą przekupka, tuszą znakomita,
Godna małżonka polskiego szlachcica:

Duszą wyniosła, a w cnoty obfita.
Miała przywary: gderalska, kłótnica,
Lubiła wprawdzie z niewiasty gawędzić;
Wolała jednak kłócić się i zrzędzić.
Miała przywary: lat miała zawiele
Jak na kobiétę, choć tego nie można
Rozpoznać było ani po jéj ciele,
Ani po zębach, które nieostrożna
Pokazywała wobec wszystkich śmiele,
Ani po włosach, w które się wielmożna
Nie wdarła jeszcze srebrna ręka czasu,
Szanując gęstość tego czarnolasu.
Skalista w wierze, w nabożeństwie pilna,
W kościelnych wszelkich praktykach surowa;
W uczuciach żywa, w zdaniu nieomylna,
Które w prostackie odziewała słowa.
Zdrowa, ruchawa, sprężysta i silna,
Zdanie popierać pięściami gotowa;
Prawdę mówiła w oczy i z odwagą,
Stała się grozą, stała się powagą.
Nieszczęście chciało, żeby w czarciéj mocy
Uwiązł Twardowski; lecz tak szczęście chciało,
Żeby do wiecznéj nie dostał się mocy,
Twardowską przecie w małżonkę mu dało.
Dziwaczka, jeździć nie chciała w karocy,
Mieszkać w pałacu, ni się okazałą
Otaczać służbą, ni chodzić w bławatach,
Ni w koronkowych, ni w złocistych szatach.
„A mnie to na co? powiadała w gniewie,
Dla kogóżbym się stroiła? dla Boga?
Czy mnie Bóg nie zna? czy On tego nie wié,
Żem ja Twardowska, szlachcianka uboga?
W ziarnie jest wartość zboża a nie w plewie,
Wązka do nieba na karoce droga;
Najwygodniejsze w drodze téj łachmany:
Nie tam się znajdą strojne koczkodany!
„A mnie do czego dworskich barwne roje?
Do czego jakieś pańskie tam pałace?
Czy w naszym domku ciasno na nas dwoje?
Człowiek stworzony na troski, na prace.
Ja o bogactwa bynajmniéj nie stoję,
Wolę chleb czarny nad pszenne kołace;
Żyję dla Boga, dla ciebie, dla siebie,
A nie o świecie, lecz myślę o niebie."
Mąż usiłował pokonać dziwactwa,
Różnych sposobów z przyjacielem użył;

By w żonie zbudzić pociąg do bogactwa,
Ale tu żaden sposób nie posłużył.
Przeciwnie, odkrył piekielne matactwa,
Czém tak pobożną niewiastę oburzył;
Musiał nie pyszny pójść precz Mefistofel,
A mąż się musiał ugiąć pod pantofel.
Wiadomo, jakim Twardowski fortelem,
Przygotowanym przez panią Twardowską,
Rozstał się w karczmie ze swym przyjacielem,
Jak się wybieżał przed mocą czartowską;
Lecz chociaż rozbrat miał z Mefistofelem,
Chociaż z niemałą w dalszém życiu troską,
Starał się dostać do łaski ogrójca,
Do czysca wyrok skazał go Wszech-Ojca.
Wtedyto zacna białogłowa rzekła:
„Przysięgłam wiecznie żyć z Twardowskim spólnie;
Pójdę z nim tedy chociażby do piekła!"
Poszła do czysca i tam dobrowolnie,
Srodze się tłukła, kłuła, piekła, siekła,
A co się chłośnie, przypiecze i kolnie,
Zawoła: „Panie! to za męża, Panie!
Wedle Twéj świętéj woli niech się stanie!"
Miłą snać była ta pokuta Panu,
Czyscowe męki przemienił na letsze;
A że nie może wnijść do Bożostanu
Dusza, dopóki zmaz z siebie nie zetrze,
Do promiennego nie powróci stanu;
Przeto pozwolił przenieść się w powietrze,
I tam się w dusznéj wyrabiać czystości,
Aż do promieni, aż do edeńskości.
Czy się oczyścił przed obliczem Pańskim
Duch czarnoksiężki? czy się jeszcze błąka
Z innemi duchy w świecie Osyańskim?
Czy wisi w niebie postacią pająka,
Jak to się widzi oczom zabużańskim?
Nie chcę zgadywać, by nie puścić bąka;
Wolę zaczekać, może od stron Boskich
Duch jaki wieść da nową o Twardowskich.

Skutkiem wypadków niezależnych od woli własnéj, poeta opuścił Księztwo Poznańskie. Czas jakiś pozostał w Belgii, w mieście Tirlemont, wykładał literaturę polską młodym ziomkom, pobierającym nauki w szkole tamecznéj. Tu czekała go najmilsza niespodzianka. Podczas wakacyi letnich udał się do Ostendy na kąpiele morskie i tam spotkał Józefa Korzeniowskiego. Milczący zwykle, nie wspominał o tém, wrażenie zamknął na dnie serca. W papierach dopiero pozostałych znaleźliśmy na zżółkłym świstku skreślonych kilka wierszy; pod cytatą stał

dopis: „Dawny profesor w Ostendzie powtórzył z pamięci przed uczniem tę strofę z poematu *Skald*, pisanego w Krzemieńcu w r. 1829."

W takiéj Skald chwili stąpał nad brzegami,
Kędy natura, słońcem nie karmiona,
Gardzi południem i jego kwiatami;
Kędy do chudéj skały przyczepiona
Sosna wyciąga skrzypiące ramiona,
Lub brzozy, płacząc nad urną swéj ziemi,
Niekiedy chłodne wypełniają łona
Wichry szumnemi.

Łatwo pojąć, co czuły te dwa serca, tak silnie połączone z sobą ogniwem tylu wspomnień. Dawny profesor złamany chorobą, z bolem zapewne śledził brózdy na czole drogiego mu ucznia, którego przed laty dwudziestu pożegnał kwitnącym młodzieńcem; z równym bolem wdzięczny uczeń spostrzegł cień śmierci, krążący już nad obliczem drogiego mu nauczyciela.

Korzeniowski przy pożegnaniu, nakreślił smętne zwrotki; przytaczamy je tutaj:

Nadejdzie wiosna, jéj wonne tchnienie
Serca przyjaciół ożywi,
Miłości nada śmielsze wejrzenie:
Szczęśliwsi będą szczęśliwi.
Nadejdzie wiosna, rolnik o świcie
Wesoło skibę odrzuci,
A w łonie ziemi zbudzone życie
Jesienny zasiew ocuci.
Ale niejedna przeminie zima
I coraz w nowéj kolei,
Nasz śnieg nie zginie, bo dla nas niéma
Ni wiosny, ani nadziei!...

Jak pożegnał uczeń mistrza, to pozostało dla nas tajemnicą; napróżno szukaliśmy jego wiersza wpośród papierów.

Z Belgii przybył Olizarowski do Paryża, gdzie miał spędzić ostatnie lat dwadzieścia smutnéj pielgrzymki swojéj. Zabrał się gorliwie do pióra, nakreślił dramatyczny poemat: *Tymon Zimorodek*. Jestto według nas najwierniejsza autobiografia, przeplatana kwiatami fantazyi.

Przytaczamy w treści ten poemat, zasługujący podwójnie na uwagę: raz jako utwór pełny wysokiego artyzmu; powtóre, jako kartka, wydarta z życia naszego poety.

Młody nauczyciel, porwany skrzydłem burzy, leci w świat nieznany, daleki. Duch lasu nagle wstrzymuje burzę; poeta ujrzał się wpośród cichéj doliny. Dumka wybiega mu z głębi serca:

O, dolino! o, dąbrowo!
Jak ja na was patrzéć lubię;
Patrzéć na was, sercem, głową:
W zachwyceniach oczy gubię.
Na dolinie łąki dywan,
Czarodziejską wiosny dłonią
W barw bogactwo powyszywan
I oblany rajską wonią
Srebrnolicy ruczaj pieści,
Wciąż ubiega, kipi gniewem
I wciąż nad nim duch boleści
Babilońskiem płacze drzewem.
Ty się ze mną żegnaj, wodo,
Igraj, pole, szumem kłosów,
Do mnie, wiejska mów przyrodo
Czarodziejskich morzem głosów.

Nagle ukazuje się wiejska dziewoja, żywy promień tryska z jéj oczu. Imię jéj—Własna: to duch opiekuńczy tych okolic. Napróżno zatrzymać chce poetę, próżno wylicza wszystkie boleści Syzyfów, Iksyonów i Prometeuszów, co na skrzydłach uraganu odbiegali od ziemi w krainę snów i marzeń. Próżno woła:

Wstrzymaj się, wstrzymaj od téj podróży,
Nie leć za burzą, nie słuchaj burzy!
Tu zostań ze mną i tym strumieniem
I z tą doliną i z tą dąbrową,
Z tém piękném drzewem, co darzy cieniem,
Wietrzyków pieśnią, ptasząt rozmową.
Tu w duszę twoję spłynie natchnienie,
W sercu zakwitnie spokojność błoga
I myśli twoich czyste promienie,
Wynajdą sobie drogę do Boga!

Własna ukazuje poecie lasy czerniejące na widnokręgu i wioski rozrzucone w przestrzeni. Wszystko, co tu widzisz, mówi, było mieniem praojców twoich Zimorodków, dziś burzą rozegnanych po świecie. Iluż z nich groby zarosły już piołunem i pokrzywą!

I ciebie grabarz tam obojętny
Zamknie w grób ciemny, niewiedzieć jaki,
A jeśli śpiew twój dziki, namiętny,
Wypali w czyjéj pamięci znaki,
To może która z gazet o tobie
Zapisze wzmiankę, jak o nadziei,

Co zaginęła gdzieś tam w rozmowie;
A wiatr zaśpiewa na twoim grobie:
Tutaj spoczywa ten sokół młody,
Co z mar drużyną latał w zawody;
Co się dał burzy odwieść od zdrowych,
Miłych i świętych progów domowych!
. . . .
Lecz oto słyszysz, burza cię szuka,
Lata po niebie źrenicą jasną;
Wzdycha wichrami, gromami huka,
W pogoń za tobą śle chmur gromady
I wichrów skrzydła pędzi w twe ślady.
Uchodź ztąd, uchodź! tam jest przysiołek
Tuż za dąbrową; jest tam kościołek,
Święta pamiątka twojego przodka;
Wedle kościołka mieszka sędziwy
Pleban tameczny: on Zimorodka
Wyrwie z rąk burzy!

I w téjże chwili odzywa się kościelny dzwonek. Własna znika... Poeta zachwiał się, ale łoskot uraganu głuszy dźwięki nieszpornych dzwonów. Krew zakipiała w piersi młodéj, szaleniec woła z uniesieniem:

Ja chcę być orłem, chcę być sokołem,
A nie skowronkiem albo słowikiem;
Ja chcę mieć ludzkość pieśni żywiołem:
Pieśń moja będzie ludzkości krzykiem.
Ja chcę poruszać serc miliony,
Ja chcę być także potęgą świata;
Niechaj pieśń moja budzi cyklony,
Okrętem gromów nad ziemią lata!

Burza porwała go na skrzydła... i cóżto wstrzymało ją w rozpędzie? Oto spiętrzone złomy Karpat. Poeta staje na opoce. Duchy gór w postaci Juhasów i Juhasek otaczają go wkoło. Pieśń ich zlewa się w jakiś chór czarodziejski.

Do nas tu! do nas! cudowne maści
Do ran serdecznych przyłożym:
        Serce wyleczym, przetworzym,
        Smutki wytrącim w przepaści.
Z myśli twéj zdejmiem chmury, całuny,
Jak Bóg niebiosa, tak ją odziejem:
Spokój i światło po niéj rozlejem:
Rosnące w duchu wyrwiem pioruny,

A mieszkające w nim błyskawice
Li na pogodę wytkną zeń lice!
Do arfy twojéj dobierzem struny,
Z nowemi dźwięki i z nową mocą,
Nowe ją czasy ozłocą!
Natchnieniem wolna od duchów złych,
Wyleci pieśnią w świat z piersi twych.
. . . .
Zaśpiewasz... wraz twój śpiew
Omannych [1]) grono dziew,
Ludzkiego głosu grono cór,
Rozniesie od gór do gór.
Zadumasz, od twych dum
Mieć będziesz wtór,
Potoków szum
I orłów krzyk i gromów huk
I góralskiego toporca sztuk.

Poeta waha się chwilę, ale skrzydła burzy zaszumiały znów, nieprzeparta siła pcha go naprzód, wciąż naprzód. Z miłością wyciąga ręce do gór:

Żegnam was, żegnam, ojczyste góry,
Może was jeszcze kiedyś zobaczę,
Może się moje rozejdą chmury,
Może się zmieni życie tułacze.
Z jakąż rozkoszą wsłucham się w szumy
Waszych potoków i dzikich lasów!
Z jakąż rozkoszą wsłucham się w dumy
Waszych Juhasek, waszych Juhasów;
A gdy u spadu wody zasiędę,
Z serca skarbony pieśń wydobędę;
Zaśpiewam z wami, tu w pośród was
Aniołów skrzydły ulata czas:
Żegnam was, żegnam, ach! żegnam was!

I uleciał na skrzydłach burzy. Nowy obraz ukazuje nam poetę we dworze wiejskim. Znajduje tam dwie czarodziejki: jedna z nich piękna, chciwa hołdów hrabina, nie zachwyca go wcale; druga zato, słodka Eleonora, siostra jego w pieśni, ma dlań urok niewysłowiony. Serca obojga uderzyły, nie tém przelotném drgnieniem, co ma zniknąć bez śladu, ale tą pełnią uczuć, co daje wybranym siłę do walki, co ściąga błogosławieństwo Boże na wspólną pielgrzymkę żywota.

Eleonora nie tai uczuć swoich.

— Zostań!—mówi nieśmiało—Bóg stworzył nas dla siebie; zostań... my będziemy szczęśliwi!

---

[1]) Oman, złuda, echo.

— Nie myśl o tém!—zawoła poeta—jam syn niedoli! Mnie nie gonić za szczęściem... myśl o tobie wystarczy mi na puste dni żywota.

Eleonora odchodzi; łzy trysły jéj zpod powiek. Tymon powiódł oczyma za odchodzącą, gdy znikła woła z uniesieniem:

Krzyknij, mój duchu! bądź w mém jestestwie,
Jako jest orzeł w ptaków królestwie
I jako lew jest między zwierzęty;
Niech się uczucia moje nie ważą
Po mojém sercu z ogniami latać!
Niech myśli moje sobie zakażą
Bawić się w tęczę i wieńce splatać!
Niech piramidą sława tkwi w głowie,
Niech się zaludnia serca pustkowie,
Tylko krzykami pieśni orlemi:
Precz, precz miłości!

Burza porwała znów szaleńca. Gdzież ona go uniosła? Zpod słonecznych wyżyn, o których marzył, rzuciła go w odmęt boleści i zawodów. Widzimy go nasamprzód na zamku lwowskim za pordzewiałą kratą. Wtrąciła go tam zdrada mniemanych przyjaciół i czcicieli. Wieść o tém rozniosła się po okolicy. Przybiega do Lwowa Eleonora ze starym plebanem; to pleban z onéj wioski za dąbrową, niegdyś dziedziny Zimorodków. Oboje kołaczą w zwarte na rygle bramy zamczyska. Tymona niéma już tam, burza uniosła go znów, wyrzuciła na bruk paryzki.

Idźmy za nim. Znajdujemy go w nędznéj izdebce na poddaszu. Czciciel ideału spotkał się tu oko w oko z najsmutniejszą prozą życia. Ciemno tu i pusto. Do piersi płonącéj natchnieniem ręka druha przykłada bryły lodu. Posłuchajmy co mówi Chołod:

Nigdyż ty, nigdy ze swego czoła
Nie zdejmiesz pieśni, precz nie odrzucisz?
Nigdyż nie spojrzysz jasno dokoła
I nie zapytasz dla kogo nucisz?
Dla kogo nucisz? kto ciebie słucha?
Czyja źrenica łzą serca błyska?
Kto z tobą łączy swojego ducha?
Kto cię do serca szczerze przyciska?
Już tyle czasu serce i głowę
W ogniach pieśniami żywionych trzymasz,
Mumie myśli, wielotomowe,
Dobyłeś z siebie i nic z nich niémasz!
Jesteś wesołym bez wesołości.
I smutnym jesteś bez smutków znaku;
Jesteś samotnym bez samotności,
Biédny poeto, biédny człowieku!

Gardząc przestrogą chłodnych rozumów,
Za widmem sławy, za pieśni słońcem,
Nad małodusznych poziomem tłumów
Niedoli własnéj latałeś gońcem.
Gdzie twoje szczęście? gdzie twoja sława?
Twoje pociechy, twoje wygody?
Grob twój zasłonią chwasty i trawa,
Ciebie zapomnień pokryją lody!

— Ale poco mi rzucać groch na ścianę—dodaje Chołod i odchodzi, wzruszając ramionami. Kołacze litościwszy druh Leonard, ten nie z próżną przychodzi ręką: wyjmuje z zanadrza chléb i wino. Dar taki bardzo na dobie; poeta nie jadł nic od wczora. Gospodarz grozi mu wyrzuceniem z izdebki; cała nadzieja w księgarzu, który wziął do przejrzenia najświeższe utwory poety. Otóż i księgarz! niestety, oddaje rękopis! Takie rzeczy dziś niepopłatne!

— Radzę panu—rzecze—zestąpić na ziemię z obłoków, iść drogą praktyczniejszą, zgodną z wymaganiem czasu, z usposobieniem ludzi: tym sposobem łatwiéj spieniężysz prace swoje.

Tymon zatrząsł się cały, zawoła z oburzeniem:

Miałżebym skarby i dary Boże
Dobywać z ducha, ażeby niemi,
Zszedłszy pod miarę z kałły dusznemi
W fabryce sztuki być wyrobnikiem?

I chwyta rękopis, drze na szmaty, wyrzuca je przez okno.

Patrzy na to gospodarz, który wsunął się we drzwi za księgarzem, aby pochwycić pieniądz. Zawiedziony w nadziejach, wyprasza poetę za próg nędznego poddasza.

Dramat rozwiązuje się na moście. Z jednéj strony wchodzi blady poeta.

— Sekwano! w twojém pochowam łonie
Moje cierpienia!

woła, zbliżając się do poręczy.

— To on! Tymonie!

woła Eleonora biegnąc naprzeciw niemu. Daléj ukazuje się stary pleban i Leonard, wierny przyjaciel.

Oprócz ostatniéj sceny wszystko tu wzięte z życia, wszystko niestety szczerą prawdą! poetycznym wymysłem tylko zjawienie się Eleonory i plebana z rodzinnéj wioski Zimorodków. Myśl samobójstwa uważamy téż za fikcyą, religijne uczucia poety stają w sprzeczności z krokiem tak rozpaczliwym. Co do przyjaciela Leonarda, ten rzeczywiście podał rękę poecie w chwili, kiedy nielitościwy gospodarz, korzystając z niebytności zadłużonego lokatora, zamknął przed nim na klucz

drzwi ubogiéj izdebki. U tego przyjaciela Olizarowski przemieszkał rok cały, za jegoto staraniem otrzymał najprzód kilka lekcyi w domach polskich, późniéj umieszczenie w klasztorze ś. Kazimierza.

Żywe świadectwo wdzięczności poety znajdujemy w pozostałych po nim papierach. Odkryliśmy na świstku nakreśloną dedykacyą, a raczéj rzucony do niéj pomysł: przytaczamy go wiernie.

„Leonardowi Niedźwiedzkiemu przyjaźń i wdzięczność poświęcają tę pracę, dokonaną w jego mieszkaniu, które było przytułkiem zwyciężonego przez niedolę, tułacza i pokutnika."

Kiedy mnie opuszczenia obległ chiński mur,
Kiedy nędza z rozpaczą wiodła o mnie spór,
Kiedym był jako ludzkości odrzutek,

Gdy w sercu rozkrzewiony w swéj bujności smutek
Wystąpił mi na lica i zapełnił skroń;
Kiedy mnie rozpacz w swą ciągnęła toń:

Tyś do mnie wyszedł z tłumu, tyś mi podał dłoń;
Tyś zemną głodnym chleb własny podzielił,
Tyś mnie czasami nawet rozweselił...

Poeta przebaczy nam zpoza grobu, że poważamy się głosić wiersz jego, rzucony dorywczo na papier—niedokończony nawet. Wolimy popełnić tę niedyskrecyą, niż zostawić w ukryciu piękną stronę serca poety, żywe uczucie wdzięczności w przyjacielską pomoc.

(*Dokończenie nastąpi*).

lepiéj spełnia swe przeznaczenie, gdy nie jest sam sobie celem, ale dzielném narzędziem, krzewiącém wyższe cywilizacyjne posłannictwo sztuki.

F. W.

Tomasz August Olizarowski.*)

PRZEZ

Sewerynę z Żoch. Duchińską.

VI.

W końcu roku 1864 zamieszkał Olizarowski w domu weteranów, pod opieką Sióstr Ś. Kazimierza. Otrzymał miejsce z przeznaczonym na ten cel rządowym zasiłkiem, dzięki zabiegom przyjaciela, który w najcięższéj chwili przygarnął go do siebie. Celka klasztorna stała się cichą ostoją złamanego burzą poety, jego przedgrobowém schronieniem. Tu miał przemarzyć, przetęsknić, przeboléć ostatnie lata życia. Czasy prób i przygód zewnętrznych minęły już dla niego bezpowrotnie; ale duch poety krzepki jeszcze, pełen żywotnéj siły, długo jak orzeł rozbijał skrzydła o szczeble ciasnéj klatki, zaczém zdołał oswobodzić się ostatecznie i ubiedz w nieskończoność, zdala od ziemskich burz i zamieci.

Utwory poetyczne Olizarowskiego, kreślone pod pseudonimem Dydyma Olifira, w ciągu ostatnich lat piętnastu, w większéj części nie ogłoszone drukiem, wiernym są wyrazem jego duszy, przeobrażającéj się bezustannie w coraz to nową postać, ulatującéj coraz to skorszym pędem ku słonecznym wyżynom.

Zrazu zaspokojony o pierwsze życia potrzeby, pewny, że mu na jutro nie braknie kęska chleba, ani dachu nad głową, przyjął z myślą swobodną osamotnienie swoje. Właśnie w tych czasach poznaliśmy go bliżéj. Odwiedzał nas często, przebywał z nami po dni kilka, pielęgnował z upodobaniem kwiaty w naszym małym ogródku; wieczorami czytywał nam swe ostatnie pieśni i obszerniejsze poemata. W domu naszym nakreślił nawet bardzo charakterystyczną powiastkę: *Car dziewica*, osnutą na tatarskiém podaniu; myśl do niéj podały mu opowieści starego Tatarzyna Surreja. Oto treść oryginalnego poemaciku.

---

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. październik r. b.

Dwaj bracia bohatery wyszli z jurty, tocząc rozhowor na stepie. Starszy, krwawy Bułat, tak wyrzecze do brata:

Za siódmą górą mieszka Car-dziewica:
Szerokie wieści chodzą o jéj sławie...
A w jurcie u niéj, złota nie do wiary;
Stoły tam złote, słup przed jurtą złoty,
Wielkie jéj carstwo, niezmierne obszary,
Lud mnogi, mnogie tabuny i skoty.
Słyszałem o niéj od ludzi niestarych,
Co mieli prawdę na ustach i czołach,
Że jeździ wozem o czterdziestu kołach,
W czterdzieści koni bohaterskich karych.

Krwawy Bułat chce zajrzéć w oczy téj strasznéj bohatérce. Zostawia bratu jurtę i trzody, dosiada rączego bachmata. Koń lotem strzały przemierzył kopytami siedm ziem, wdarł się na siódmą górę; ztąd bohatér zmierzył okiem szeroko rozesłane po stepie koczowiska groźnéj władczyni. Zbiega co tchu w dolinę, staje przed wielką jurtą, obwieszoną złocistemi makaty. Dziewicy niéma w domu, lecz powróci niebawem. I oto zaturkotało czterdzieści kół jéj wozu: czterdziestu biegunów zatętni kopytami, że aż ziemia się wstrząsła.

Bułat nie zadrżał: stoi, czeka spokojnie.

Odwiązał tylko pletnię swą od siodła,
Machnął na próbę, żeby nie zawiodła.

Sroga dziewica zsiada z wozu; krogulczy wzrok utkwiła w Bułata. — Precz ztąd! wyrzucić go!—woła z gniewem na sługi.—Ale nim ci spełnili rozkaz, bohatér pochwyca wpół dziewicę, wywłóczy na step z jurty; co sił okłada twardą pletnią.

Złamana bólem, próżno woła o litość.

Dosyć już, bracie, nie czyń ze mnie żyru
Wronom stepowym! Odpuść: miru! miru!

Bułat nie poprzestaje:

Bił, aż do zatłumień
Głosu i czucia: bił aż ustąpiła
Z krwią czarną, wszystka bohatérska siła,
Aż się pokazał krwi czerwony strumień;
Wtedy ją zaniósł do białego morza,
Wodą zmył żywą, napoił, ocucił,
Do przytomności, do zdrowia przywrócił
I nadał pozór, że była jak zorza,
Gdy wyjdzie z nocy nad morskie odmęty,
Pokazać światu wdzięków dyamenty.

I stało się na wywrót przysłowiu naszemu: smutne były początki lecz koniec radosny. Bułat zagarnął trzodę i tabuny bohatérki; przez siedm gór i siedm dolin wiedzie ją w tryumfie do jurty swojéj. Rzecz kończy się weselem.

Inny rzewniejszy poemacik odnosi się do tychże samych czasów. Wśród długiéj, wieczornéj pogadanki, opowiadał nam poeta domową tradycyą rodu swego. Według niéj, tak Olizarowie jak i Olizarowscy, byli daleką odroślą rodu serbskiego Lazara. Po klęsce na Kossowém polu, gałązka tego szczepu, uniesiona wichrem, dostała się w nadnieprzańskie strony i tam na żyznym przyjęła się gruncie. Wkrótce po téj rozmowie, przyniósł nam dziwnie poetyczny utwór, p. t.: *Car Lazar*. Przytaczamy go w obszernéj treści, jako dotąd nie ogłoszony drukiem.

Byłato jedna z nocy mych bezsennych.
Nad Panteonem stał książę gwiazd cichy,
Ubierał miasto w srebrne swe uśmiechy;
Za Panteonem kilka chmur ościennych
Czekało wodza lotnego podróży,
Co tam przy źródle zasnął w gaju róży,
Trzymając w ręku skrzydła swe rankowe,
U których loty odrastały nowe.
A w gmachu świata ludzkiego, nad światem
Wisiało niebo sklepieniem bogatém,
A w gmachu cisza, usta brylantowe
Kładła na domy i na drzewa śpiące;
Czasem spłoszona dróg żelaznych świstem,
Pierzchała w strony, lub na niebie czystém
Kryła się między gwiazdy, śpiewające
Pochwałę nocy, nieba i księżyca.

Siedziałem w oknie. Wzrok myśli sokołem
Za urokami latał górą, dołem;
Odblask miesiąca padał mi na lica,
I w magnetyczne wchodził związki ze mną
I myśli moje z myślami przyrody,
Gdzieś w nieskończoność biegały w zawody,
Albo rozmowę wiodły potajemną.
Dumka tymczasem z pieluch serca wzięta
I przeniesiona na mamki do głowy,
Poczęła z głowy dobywać rączęta
I poza głową szukać sobie mowy.
Wtém stanął przy mnie duch Cara Lazara,
Pomógł rączętom dobyć się i urość;
Lecz zamiast mowy, myśl nadeszła stara,
Wlokąc za sobą: żal, gorycz, ponurość.

Takowe słowa powiązane w rymy,
Rzuciła w serca płomienie i dymy.
— „Miałeś tron carski, masz oto ołtarze,
Naród cię serbski w pieśni serca odział,
A twój potomek o carze Lazarze.
Nieszczęsny Polak, patrz, gdzie on się podział!
Na obcéj ziemi w przytułku, w szpitalu,
Z koroną cierpień łączy pieśni żalu!"
Ledwiem te słowa w sercu mém przeczytał,
Drzwi się rozwarły, wszedł... kto?... próżnom pytał.
Miał gronostaje i szkarłat na sobie,
Włos długi, złoty, postać męzką, razem
Twarz święcie jasną dobroci wyrazem.
Wyciągnął ręce zpod purpury obie,
Mnie do swojego przytulił objęcia
I duszę moją, jak duszę dziecięcia
Do swojéj duszy przygarnął wesoło;
Patrzał na moje oczy i na czoło,
Wziął mnie całego w swoich ócz promienie,
W błogie i święte owinął wrażenie;
Mocą nadludzką pociągnął do siebie,
Przywołał związki wiekuiste w niebie
I w tajemnicach ducha osadowił.
Pamięć, przez ciała zatartą przemiany,
Dobył, oczyścił, rozjaśnił, odnowił
I czterech wieków rozprzezroczył ściany
I stał się dla mnie tak żywym, tak znanym,
Tak blizko swoim i tak ukochanym,
Żem się jak dziecko, aż do łez rozczulił
I padł do kolan, całując kolana.
On mnie raz jeszcze do siebie przytulił:
I była chwila w niebie tylko znana,
Kiedy po długim, czyszczcowym rozdziele,
Zejdą się z sobą krewni, przyjaciele
I kochankowie na złączenie wieczne,
Na szczęście wieczne.
Ja miałem tę chwilę,
Tę arcy-chwilę! w niéj odżyłem tyle,
Takie w niéj siły zagrały serdeczne,
Że omal usty nie wyrzekłem mémi:
Czemu mnie, Boże, zostawiasz na ziemi?
Jakaż mną wtedy zatrzęsła potrzeba
Zrzucenia z siebie téj z ciała koszuli,
Którą wdział duch mój, a ludzie zatruli:
Jakież pragnienie miałem wtedy nieba!

Tak pragnie domu wędrownik pustyni,
Morski podróżnik tak do lądu wzdycha,
A jako ziemia i dom się uśmiecha,
Kiedy tam czeka miła gospodyni;
Tak się uśmiechał do mnie dom ten ducha,
O którym wciąż mi gada, wciąż otucha,
Gdzie czeka na mnie siostra jéj przeczysta,
Najdoskonalsza miłość wiekuista
I gdzie prowadzi trzecia siostra, wiara,
Kapłanka serca!...
Rzewnie wyrzekłem do mego przychodnia:
Praojcze, weź mnie z sobą! wszak nie zbrodnia
Czegoś lepszego, czegoś chcićć dobrego:
Źle mi tu... źle mi!...
On na to: — Dydymie,
Nie czyń, jak czynią ludzie małoduszni,
Dzikim uczuciom i myślom posłuszni;
Przed końcem walki nie rzucaj oręża,
W walce o przyszłość, wytrwałość zwycięża,
Ni się wyrywaj z cierpienia kolei:
Wielkość cierpienia jest żywota miarą,
Idź drogą cierpień! nie gub się w rozwiei
Myśli i uczuć; nie czyń się ofiarą
Nierządu woli i krótkości widzeń.
Nie przyjmuj żadnych do serca ohydzeń,
W czuwaniu nad niém nie szczędź nigdy troski,
Bo serce zawsze winno być świątynią,
W któréj się święte tajemnice czynią
Miłości ludzkiéj i miłości Boskiéj.

— Ja nie chcę cierpieć!—zawoła poeta—dosyć już wycierpiałem.

— A ja małoż przetrwałem boleści?—odpowie Lazar—nadaremno się zżymasz!

Cierpi nasze drzewo
Od pnia począwszy, począwszy odemnie.
Ileż cierpiałem, kiedym nadaremnie
Królestwo moje chciał przywieść do zgody,
Ażeby Turka od Serbii za wody
Przepędzić czarne! Ileż było bolu
W mém sercu, kiedy na Kossowém polu
Serbia padła Brankowicza zdradą!
Mocno mnie, mocno zabolało serce,
Gdym widział rod mój w takiéj poniewierce,
Gdy wnuki moje musiały uchodzić
Z ciałem i duszą, tam, na ruską ziemię!

. . . .

Jam cię sprowadził z pospolitéj drogi
I wyprowadził na drogę cierpienia,
Między żywota piołuny i głogi;
Jam w tobie zasiał bujne te rojenia,
Co wszystko w tobie o wiele przerosły:
Jam podał skrzydła, co ciebie podniosły
Nad poziom ludzki; jam w tobie o sławie
Myśl pielęgnował we śnie i na jawie.
Pieśni twéj, serca twojego pisklęciu
Dałem naukę, jak z arfą eolską,
Na dumek nutę, grać o wniebowzięciu
Duchowi twemu; jam cię złączył z Polską
Na wieki pieśnią; ja szczęście odsuwam
Od ciebie ziemskie! ja nad tobą czuwam,
Nad twojém sercem i nad twojém czołem,
Czuwam praojcem i stróżem aniołem.
Zawierz praojca nad tobą czuwaniu;
Wszystkiemi ducha potęgami władaj:
Przed końcem walki oręża nie składaj!
Odpowiedziałem w ducha rozerwaniu:
— Tak jest, nie ujrzę końca méj niedoli!
Niech się duch męczy i niech serce boli,
Abym gdzieś, kiedyś, wymówił: zwycięztwo!
On spojrzał na mnie oczyma smutnémi
I głowę moją schyloną ku ziemi,
Ujął w swe dłonie. rzekł błogosławieństwo,
Zarzucił uścisk, na pościel mnie złożył
I sen zostawił.
Gdym oczy otworzył,
Ujrzałem jako promieńmi białemi
Dzień noc odganiał od nieba i ziemi;
Niebo i ziemia patrzyły z uśmiechem,
Na odchodzącą od nich noc z pośpiechem;
Kury śpiewały hasło swe poranne;
Dzwonek klasztorny wzywał zakonnice,
Ażeby niosły przed Najświętszą Pannę,
Z modłami usta, serca i źrenice.
Nad Panteonu kopułą wysoką,
Na obłoczkami zasiane lazury,
Dnia zza Tybetu wychodzące oko,
Słało potoki złota i purpury.
Wiatr obudzony, na drzewach sprobował
Swych nowych lotów i z chmur karawaną,
W pustyni niebios zwolna powędrował.
Jam w myślach pieścił postać ukochaną,
Mającą szkarłat monarszy na sobie,

Włos długi, złoty; mężką a zarazem
Święcie twarz jasną dobroci wyrazem
I ręce ku mnie wyciągnione obie.

Obok postaci wielkiego protoplasty, inna jeszcze postać przyświecała poecie gwiazdą przewodnią. Równie drogiém było mu wspomnienie Mickiewicza. Rad odwiedzał cmentarz w Montmorency, długie nieraz godziny spędzał na wieszcza grobie. W jednéj z tych samotnych wędrówek, wyśpiewał pieśń na cześć mistrza i przewodnika swego. Oto jéj początek:

Grób Mickiewicza! grób wielkiego męża!
Jakże go uczczę? co w uczczeniu złożę?
Gdybym miał oręż i sławę z oręża,
Złożyłbym oręż; lub gdybyś Ty, Boże,
Dał mi liść wieszczy, zdjąłbym go z méj głowy,
I święcie poniósł na ten głaz grobowy.
Życia ziemskiego niebaczny wędrowiec,
Skarby mych uczuć zaniosłem w manowiec;
Z próżną skarboną wyszedłem z manowca,
Lutnia mi tylko pozostała jeszcze;
Niechże ją złożę u Twego grobowca,
O mistrzu wielki! o wieszczu nad wieszcze!
Z namiotu świata uciekły obłoki,
Słońce rozlewa blasków swych potoki:
Dokoła jasno, dokoła wesoło,
Tu tylko smutkiem mnogie ćmi się czoło
I mnogie serce spokojność swą łamie,
Żalem po Tobie, o wieszczy Adamie!
Jakaż po Tobie ogarnia tęsknota!
Gdzie ta kolumna gorejąca ducha,
Co szła przed nami w pustyni żywota?
Zapadła w ziemię! lecz jeszcze wybucha,
Jeszcze wybucha przed duszy oczyma
I jeszcze przednią straż przed nami trzyma.
. . . .
Mistrzu! spójrz! oto biedna lutnia owa,
Którąś ty łzami oblał braterskiemi.
Obojętności zaraza morowa
Chce osadowić na niéj prochy ziemi;
Przyniosłem senną położyć na grobie,
Lub na cyprysie zawiesić w żałobie.
I nie myślałem, że ręka niemłoda
Zechce ją zbudzić i potrafi zbudzić,
K'woli uczczeniu piewcy Walenroda;
I rzekłem: po co daremnie się trudzić?

Lecz gdym ją smutny u grobowca składał,
Twój duch w nią wstąpił, twój duch w niej zagadał!

Nigdy poeta nie potrącał w struny lutni swojéj, gdy serce silnie poruszoném nie było. W wielkiéj liczbie pieśni, jakie mamy pod ręką, nie znajdujemy żadnéj wywołanéj pochlebstwem. Rad był jednak uczcić prawdziwą zasługę; pieśń wtedy sama wyrywała się z jego duszy, dźwiękiem samodzielnym, dalekim od konwencyonalnych ogólników. Oto kilka zwrotek z pieśni, poświęconéj jednemu z zasłużonych etnografów naszych, odczytanéj publicznie, w dniu, kiedy ziomkowie ofiarowali mu zegarek, na pamiątkę znakomitych jego konferencyi.

Kto tedy na to swój żywot dał,
By znaleźć prawdę w dziejów odmęcie;
Kto znalezionéj służył wciąż święcie,
Ten godzien chwały, będzie ją miał.
Z jakąż radością zasłyszym tam,
O Tobie gwiazdom podane słowo,
Podane piersią milionową,
Oto ten oczy otworzył nam.
W me dobre chęci zaigrał duch,
Chwyciłem arfę biédną do ręki,
I dobytemi naprędzce dźwięki,
Trąciłem oto o bratni słuch.
Jeżeli w serca padł jaki dźwięk,
Niech za nim całe to chęci granie,
Przy upominku, tak pozostanie,
Jak przy szyszaku piór strusich pęk.

Niemniéj oryginalną piosenkę znajdujemy na cześć Deotymy. Poeta skreślił ją zapewne wówczas, gdy improwizatorka nasza przed kilkunastu laty, zachwyciła ziomków w Paryżu swym nieporównanym talentem. Przytaczamy te zwrotki:

Od gwiazdeczki do gwiazdeczki,
Latała cudna piosneczka;
Dawnośmy, rzekła gwiazdeczka,
Nie miały takiéj piosneczki.
By pszczółka z kwiata do kwiata,
Tak ona czary swojemi,
Z gwiazdki do gwiazdki przelata.
Znieśmy ją, rzekły, do ziemi.
Wraz jedna gwiazdeczka zniosła
Na ziemię piosnkę niebową,
Posiała dziecku pod głową,
I piosnka z dzieckiem wyrosła.
Ta piosnka nazwiska niéma,
Cudownie wychodzi ona,

Z dziewicy świeżego łona.
Dziewicą kto? Deotyma.

Słuszny hołd brata w pieśni tém większą ma wagę, że poeta dziki z natury, zamknięty w sobie, nie skorym był do sypania kadzideł. Surowo chłoszcze on zarozumiałość pisarzy goniących za poklaskiem. Znaleźliśmy wśród papierów ustęp nadzwyczaj charakterystyczny. Przytaczamy go aby dać poznać nietylko sposób widzenia poety, ale niemniéj jego prozę ostrą, wyrąbaną, jakby rzeźbioną twardém piórem Reja z Nagłowic.

„Jest, mówi Olizarowski, rodzaj dygnitarzy, zwanych geniuszami... Dolo polska, jak ciebie odkląć! czém przebłagać! Dostanie kto skrzydełka jako wróblik, już ma się za orła; świéczkę ma w głowie, mniema że słońce; nauczy się mówić okrągło, składać kunsztownie wyrazy, toczyć zręcznie okresy, albo miotać pod ludzkie słuchy co przyjdzie mu na język i oko; to już klękajcie narody! Nie uważajże takiego za geniusza, za potęgę, za wyrocznią, ośmiel się wzbudzić go ze złudzeń, rzeknij zdrową a prostą prawdę: to wejdź raczéj między tarantule a niedźwiadki."

Swobodny humor nie opuszczał zrazu poety w zaciszy klasztornéj. Przesiadując w samotnéj celi z piórem w ręku, żartował wesoło z biédy swojéj. To błaga wierszem siostrę Ludwikę o jednę świéczkę łojową; przedstawia ile kraj straci na tém, jeśli myśl wylęgła w głowie jego podczas nocy bezsennéj, przebrzmi bez wieści nie pochwycona piórem. To znów przejęty na wskroś chłodem zimowym tak dotkliwym w Paryżu, kreśli na świstku swoje skromne życzenia:

Chcę mieć jeszcze surdut nowy,
Nowe buty i chcę jeszcze...
Już ja tego nie obwieszczę,
Myśléć o tém, szkoda głowy.
Lecz lisiura, ach lisiura!
Lub baranki, lub wilczura,
Albo jakieś inne futro,
O tém myśléć będę jutro;
I pojutrze i tygodnie,
I miesiące myśléć będę,
Aż na słońcu znów zasiędę,
I powitam wiatry wschodnie.
Promieniami słońca złoty,
Ciepły, rześki i radosny,
Oddychając tchnienim wiosny,
Myśl o futrze puszczę w loty.
Liść wawrzynu mnie nie łechce,
Niech łopucha skroń zarasta,
Mniejsza o to, sławy nie chcę,
Ale butów chcę i basta!

Wdzięczny siostrom ś. Kazimierza za przytułek i opiękę w ich domu, wywdzięczał się pisząc rzewne powinszowania od wychowanek na imieniny przełożonéj, lub małe komedyjki, zastosowane do pojęcia drobnych dziewcząt, które je odegrywały. Te komedyjki taki znalazły wkrótce rozgłos, że francuzkie siostry Miłosierdzia prosiły o ich przekład i upowszechniły je w szkółkach swoich.

Czasami dowcipny wierszyk poety sprowadził na zakład ś. Kazimierza jakiś niespodziewany zasiłek. Tak było razu jednego na Wielkanoc, skutkiem odezwy nakreślonéj w imieniu siostry Maryi do jednego z zamożniejszych panów polskich.

Wielmożny panie hrabio, lubisz śmiać się ze mnie,
Śmiéj się tedy do woli ale nie daremnie;
W twych progach staropolska przebywa gościnność,
I obrała w nich sobie miejsce dobroczynność.
Do nich się więc uśmiecha chwalebny uczynek,
W postaci sześciu schabów, tyluż tłustych szynek,
Kiełbas łokci dwudziestu. Są to bowiem czasy,
Które trzeba koniecznie uwieńczyć w kiełbasy.
Przy kiełbasach i szynkach jest rzecz oczywista,
Muszą znaleźć się jaja: tych trzeba czterysta;
Zgromadzone kiełbasy i szynki i schaby,
Zapytają: gdzie baby? muszą więc być baby,
Z temi kawa, herbata i cukrowe głowy.
Zakończywszy w ten sposób post czterdziestodniowy,
Gdy poczniemy święcone wychwalać i dławić,
Będziemy ci z wdzięcznością hrabio błogosławić,
A ja zaś obliczając twe datki przyjemnie,
Powiem wesoło: Hrabio śmiéj się, śmiéj się ze mnie!

Hrabia śmiał się, lecz hojnie sypnął datkiem: w tradycyach klasztornych pamiętną została ta Wielkanoc.

Ostatni to raz poeta odzywa się na ton wesoły. Nagle myśl jego sposępniała, w duchu nastąpił dziwny przełom: niemało zapewne wpłynęły na to pierwsze objawy astmy. Tego nieproszonego gościa wita on żartobliwie smętnym sonetem.

Astmo dyablico! czego chcesz odemnie?
Za co mnie męczysz tak i tyle czasu?
Czy za to żem się ubiegał daremnie
O próżną sławę? o marę Parnasu?
Czy, żem się duchem bratał potajemnie
Z duchami góry, doliny i lasu?
Czy żem po miłość chodził w serca ciemnie,
Jak po truciznę w pustynie Upasu?
    Widzisz: ni lauru ani myrtu u mnie,
Jak dla zająca, dla mnie grzbiet przyjaźni:
Fortuna pustą tylko błyskawicą,

Lub ogniem błędnym oczy moje draźni.
I w świecie dla mnie jakby w ciemnéj trumnie.
Czemu mnie męczysz? czego chcesz dyablico?

Ciemność grobowa ogarnęła umysł poety. Obraz miejsc rodzinnych żywy zawsze w jego pamięci, ale czuje, że pękły ogniwa łączące go z tymi, których tam pozostawił. Smętne zwrotki skreślone w dniu wielkanocnym, wiernie malują ten stan tęsknoty i zwątpienia.

Dzień Zmartwychwstania! ileż uciechy,
Błysło przed mojéj duszy oczyma;
Słyszę życzenia, widzę uśmiechy:
Jakże mi smutno, że mnie tam niéma.

Cicho-no cicho, coś serce gada,
Myśl jakaś przykra duszy się trzyma;
Byłażby ze mnie tylko zawada?...
Może i lepiéj, że mnie tam niéma.

A jednak pragnąłby złożyć tam skrzydła utrudzone pogonią po świecie niedościgłych ideałów.

W opuszczeniu, w poniewierce,
Upiór żalu ssie mi serce,
Sęp zagnieździł się w mem czole;
I już nie wiem jak poglądać,
Dokąd dążyć, czego żądać,
Gdzie odetchnąć na padole.
Ojcze Boże! już nie proszę,
O Edeny, o roskosze;
A jedynie błagam jeszcze,
W nadbużańskiéj dozwól stronie,
Na sen wieczny w ziemi łonie,
Złożyć skrzydła moje wieszcze.

Myśl ta nie opuszcza poety, wypowiada ją coraz to nową zwrotką.

Dla siebie dość mam, jak sen nie przeminę,
A jeśli naród w tryumfu godzinę,
Bluszczowym liściem okryje mi skronie,
I w swym pomieści kiedyś panteonie.
Czy straż mych kości będzie przy marmurze,
Czyli téż polne pogrzebią je burze,
Mało się troszczę, dośćby dla mnie było,
Nie cudzoziemską okryć się mogiłą.
Nie obcą mową mieć sen przerywany,
Nie obcą ręką kwiat na grobie rwany,
Na łonie ziemi swéj położyć głowę,
I dźwięki pieśni zasłyszeć domowe.

Samotność cięży poecie, czuje on jeszcze krzepkie siły, duszą rwie się do czynu... napróżno... droga działania już dla niego zamknięta. Myśl ta doprowadza go do rozpaczy.

Już więc mam zgasnąć w mojéj samotności,
Jak od ócz słońca gaśnie łza jutrzenki,
Jak ognik błędny od wietrzyka gaśnie,
I tak się rozwiać i zagłuchnąć właśnie,
Jak w puszczy echo samotnéj piosenki.

W tym chorobliwym stanie poeta przyszedł do zupełnego zwątpienia, utracił wiarę w własne siły, niéma gdzie spocząć myślą. Śpiewa jeszcze, ale nie wierzy w potęgę pieśni własnéj, czuje jakby ciężącą na niéj klątwę.

Harfo przeklęta! harfo pełna jęków,
Nigdyż przekleństwa czas nie zdejmie z ciebie?
Nigdyż nie wrócisz do tych błogich dźwięków,
Któreś w młodości zostawiła niebie?
Duchu ty smutny, nigdyż nie przesilisz
Fali cierpienia, wciąż na ciebie gnanéj?
Nigdyż ty życia mego nie rozmilisz,
Uśmiechem doli, nadzieją wygranéj?
. . . .
Zanosiło się na sto skrzydeł we mnie,
Gdym się do lotu wieszczego sposobił;
Gdy przyszło lecieć, szukałem daremnie,
I dwojga całych; smutek mnie przerobił,
Smutek ołowiem nakrył moją wiosnę,
Niémam sił palmy; z ciężaru nie wzrosnę.
O! pieśni biédna, jam sercem po ciebie
Chodził do nieba, a danéj mi w niebie,
Słusznie wierzyłem, że się przedrzeć zdoła
Do serc tam ludzkich, że ztamtąd wywoła
Zdroje współczucia... Wiecznaż mi tęsknota,
Wiecznaż mi droga w pustyni żywota.

W poemaciku *Syn niedoli* głębiéj jeszcze sięga do dna zbolałéj duszy, wydobywa z niéj całą gorycz:

Syn ja niedoli, na mnie bóg Parnasu,
Tchnął i położył znak poezyi boski.
Znak ten odgarniać miał odemnie troski,
Bronić przez wieki od zniewagi czasu,
A światło życia dobyć ze mnie nowe,
Ludzkiemu światu pokazać mą głowę,
W krąg otoczoną promienistym wieńcem,
Jak głowę słonia... Miałem miliony,
Zwyciężyć pieśnią i zostałem jeńcem
Boleści ducha. Tryumf błogo śniony,

Smutno się prześnił. Gasnę w samotności,
Gasnę by wody samotna kropelka,
Lub iskra niebios, zaledwo przez szkiełka
Sztuczne widziana.
Z świątyń miłości, nadziei i wiary,
Wyszedłem w puste ludzkości obszary;
Świat mnie otoczył smutkiem i tęsknotą,
Duch mój zodludniał i zostałem oto,
Bez zakonnika ślubów, zakonnikiem.

Poeta nie zasklepił się jednak w samolubnéj boleści, płacze on łzami drugich, cierpi cierpieniem drugich. Wypowiada to w odezwie do przyjaciela.

Piekłem jest ludzkość i odludztwo piekłem.
Wybrałem lżejsze, w odludztwo uciekłem.
Nie myśl atoli, żebym czuć zaprzestał,
Lub żebym o nic już na świecie nie stał;
Jest krzyk na ziemi, który mnie porusza,
Są płacze, jęki, któremi ma dusza
Płacze i jęczy!...

Trawiony goryczą unikał towarzystwa, rad przesiadywał w swojéj celi, pomiędzy ludźmi czuł się najbardziéj osamotnionym. Pióro jedynym było powiernikiem tych codziennych udręczeń, téj głębokiéj tęsknoty. Ileż bólu w tych słowach:

W mém biedném sercu nie puchy, nie miody,
Z mojego serca głowę wydobywa
Stara żałoba i smutek nie młody,
Rzadkim w méj głowie gościem myśl szczęśliwa.
A w moim duchu pragnienia i głody,
A w mojéj duszy ciemność przeraźliwa,
Istne w niéj kłęby wiją się padalcze,
Walczę z rozpaczą, coraz słabiéj walczę.

Nie były to owe czcze skargi, powtarzane w chór za Byronem przez tylu niezrozumianych, skłóconych z życiem Child-Haroldów, jakich wydały literatury wszystkich ludów europejskich, w pierwszéj połowie XIX wieku. W każdém słowie Olizarowskiego podzwania szczera prawda. Żal jego nie udany, potrzebaż mu było wyrabiać go sztucznie w wyobraźni, skoro miał do niego tyle najsłuszniejszych powodów? Z wyjątkiem wielkich poetów, jak: Mickiewicz, Bogdan Zaleski, Goszczyński i znakomitych krytyków, jak: Tyszyński, Grabowski, Al. Chodźko, ogół nieumiał zrozumiéć go ani ocenić. Forma wiersza jego oryginalna, niekiedy chropawa, odstraszała tych, którzy nad głębokość myśli przekładają zewnętrzną ogładę w wyrażeniu. Smutne wreszcie czasy przyszły na poezyą, powiew realizmu dziwnie ostudził serca. Poeta nasz widział powstającą w umysłach walkę, tę zaciętą walkę

przeciw idealnym marzeniom, która niestety znalazła dziś u nas tylu paradoksalnych rzeczników. Wychowanek—co więcéj: jeden z twórców szkoły ukraińskiéj, przeczuwał duchem te gromy wzbierające na widnokręgu, które miały ugodzić w gmach romantyzmu, wzniesiony geniuszem wielkich poetów naszych. Wobec tego zamętu pojęć, smutny rozbitek szamocze się rozpaczliwie, wyrzuca z piersi grad palących pocisków.

Śpiewam wśród trupów,
Śpiewam do słupów,
Ach! ileż męk,
Moje śpiewanie.
To serca rwanie,
To jęków jęk.
. . . .
Wśród żywych ludu,
Gorzéj niż w trumnie.
Zkąd ludzi taka,
Do mnie odraza?
Jakby do ptaka,
Co sypia we dnie,
A nocy głosi,
Złe przepowiednie,
I śmierć roznosi?

Nie bajroniczne to uniesienia, każde słowo drga bolem, każde kreślone krwią i łzami.

Poeta cierpi nad sobą, ale bardziéj jeszcze cierpi nad chorém społeczeństwem. Jakaż to przepaść boleści w owéj skardze.

O pieśni moja! pieśni niestetliwa!
Przyszłaś ty na świat w bardzo lichą porę,
Serce ludzkości stare dogorywa,
Stare zepsuciem i starością chore.
Na myśli życia próżno się zdobywa,
Już zeń to drzewo, co straciwszy korę,
Pożółkłym liściem uśmiecha się światu,
A nie przyrzeka owocu ni kwiatu.

VII.

Duch poety wyszedł zwycięzko, rozpacz zamilkła w jego sercu, pokonana siłą woli i żelazną pracą. Z całą energią zabrał się do dramatów. Niepospolita zdolność chwytania charakterów i wprowadzania w grę uczuć ludzkich, wiodła go na to leżące u nas odłogiem pole literatury. Liczba dramatycznych jego utworów dochodzi do trzydzie-

stu [1]); tworzył je różnemi czasy, połowę ich odnieść możemy do lat ostatnich, przępędzonych w ciszy klasztornéj. Niepodobna nam mówić dziś o tych wszystkich utworach. Krytyczne ich ocenienie zostawiamy do innych czasów, ograniczymy się tylko na pokazaniu kilku z nich, aby dać poznać rozmaitość pomysłów i bogactwo fantazyi autora. Gorący czciciel Mickiewicza postanowił przetłómaczyć na wiersz polski dwie dramatyczne jego prace, skreślone prozą francuzką. Jedna z nich, p. t.: *Jakób Jasieński*, obejmuje tylko akt pierwszy dramatu dziejowego z końca zeszłego wieku. Występują w nim obok siebie dwa światy, całkiem od siebie różne strojem i obyczajem; świat staropolski rozmiłowany w przeszłości i świat dworski sfrancuziały na wzór Stanisława Augusta. Tęż samą myśl rozwinął Korzeniowski w komedyi *Wąsy i Peruka.* Drugi pięcioaktowy dramat Mickiewicza: *Konfederaci Barscy*, zaginął był w dyrekcyi jednego z teatrów paryzkich, pozostały tylko w papierach wielkiego poety dwa początkowe akta. Olizarowski przetłómaczył je polskim wierszem w sposób godny oryginału i uzupełnił dzieło trzema następnemi aktami. Praca ta żywo go zajęła, błogosławił Mickiewicza, iż otworzył mu do niéj pole, wdzięczność wyraża w czterowierszu:

Dążąc za Melpomeną w przepaść się dostałem.
Podajże mi kto rękę: z przepaści wołałem;
O! mędrki, samoluby, o! bezduszne karły,
Patrzcie, podał mi rękę Mickiewicz umarły!

Pierwsze dwa akta *Konfederatów* drukowane były w *Przeglądzie krakowskim*; podziwiano w nich bógaty język tłómacza, podzwaniający tętném Zygmuntowskiéj epoki.

Z oryginalnych utworów wspomnimy tu naprzód *Omanki*, śliczny czarodziejski dramacik. Poeta wprowadza nas w świat fantastyczny, na tatrzańskie podgórza. Królowa Echna panuje tu nad chmarą zaklętych dziewic; rodzone to siosty Wil serbskich i naddnieprzańskich Rusałek. Powołane głosem Echny, wybiegają na połoninę; radzą z nią razem jak zakląć grożące im niebezpieczeństwo. Królowa Kungunda, świeżo owdowiała po królu Bolesławie, przywdziała odzież zakonną i miejsce to obrała na cichą ustroń dla siebie i towarzyszek. Tylko patrzéć, stanie krzyż na szczycie téj opoki.

Długo trwa rozhowor. Dziwne bogactwo fantazyi rozwinął poeta w scharakteryzowaniu tych istot tajemniczych. Jedna z nich wy-

[1]) Oto spis wiadomych nam dramatów, komedyi i drobnych obrazków dramatycznych Olizarowskiego: *Zygmunt z Szamotuł*, trylogia, *Krystyn z Gozdowa*, dramat, *Rognieda*, trylogia, *Zemsta Rogniedy*, *Konfederaci Barscy*, *Jakób Jasieński; Bogusławscy; Dziewica Erynu; Rada w Chęcinach; Wulpolup; Morowa; Ugrom; Etoria; Noc hiszpańska; Allan i Aurora; Wołody*, *Mojna; Omanki; Na ziemi i niebie; Skąpiec chiński; Twardowski*; *Prima Aprilis; Pod Feniksem*; *Jakie posłanie takie spanie*; *Darmozjady*; *Worów*; *List do Matki Boskiéj* i inne komedyjki dla dzieci u ś. Kazimierza.

obraża grozę: pod jéj spojrzeniem wszystko zmienia się w martwy kamień; inna uosabia szaloną boleść. To ofiara straszliwego olbrzyma, który ściga ją bezustanku. Posłuchajmy jéj skargi:

SZALONA (*do księżyca*). Schowaj, schowaj twe promienie,
Rzuć mu w oko mgły i cienie;
Niech ślad za mną ma bezdroże:
Do przepaści zajdzie może!
(*do Omanek*).
Przez parowy, przez potoki
I przez rzeki i przez góry,
Stąpa olbrzym jednooki,
Krwawy, chciwy i ponury;
Rozpościera strach dokoła,
Straszny potwór! czoła nie ma,
Okiem tylko w miejscu czoła
Wzrok wytknięty prosto trzyma
Uczynkami prawo łamie,
A słowami chytrze kłamie.
Każda jego chęć zbójecką,
Każda jego myśl zdradziecką:
Z jego drogi wszystko znika;
Na biesiadach z upiorami
Po kawałku świat połyka,
A zapija krwią i łzami.

OMANKI. Co ta gada? co ta gada?

SZALONA. Nie wierzycie? wam niewiara,
Wam swawola, a mnie kara,
A mnie męka.—Biada! biada!
Od skarg moich ziemia pęka:
Twarz wystaje grozą mroźna,
Z chmur tumanu sterczy ręka
Płomienistym mieczem groźna.
Od mych żalów skały płaczą.
Moje żale co wam znaczą?
W waszych sercach pustki szczere;
Święci Pańscy z Aniołami
U stóp Pana, nad pustkami
Serc, śpiewają *Miserere*.

OMANKI. Cóż ów olbrzym?

SZALONA. Idzie w ślady:
Idzie za mną; z mym pogrzebem,
Z myślą wiecznéj méj zagłady!
Do mnie przypiął swoje prawo,
I uczynił mnie swą strawą;
Cóż więc począć? gdzie się podziać?
Gdyby ziemią się przyodziać?

Ach! co czynić, co z nim począć!
Nie da ożyć, nie da spocząć,
Wziął mi spokój, wziął mi zdrowie,
Rozwścieklił się i rozsrożył,
Utkwił topór w mojéj głowie,
Kolce ostrza sztucznie złożył,
I uczynił mojém łożem,
I łez szuka nadaremnie:
Krew wyciekła już pod nożem;
Łzy wyciekły wszystkie ze mnie
I krwi nie mam i łez nie mam!

Święta królowa ukazuje się nagle w orszaku zakonnych dziewic, zatyka krzyż na szczycie opoki.

„Tu, rzecze, stanie klasztor; a wy Omanki pobratane z przyrodą pląsajcie sobie swobodnie z wietrzykami, radujcie ucho przechodniów słodkim poszeptem waszym.” Szalona patrzy w krzyż Zbawiciela i otucha wraca jéj zmysły.

W pośród historycznych dramatów Olizarowskiego, znakomite miejsce zajmuje *Krystyn z Gozdowa*, pięcioaktowy utwór wysnuty z średniowiecznych dziejów Mazowsza. Charaktery osób wybornie tu oddane; akcya postępuje żywo; niedopatrzéć nigdzie próżnéj sceny. Szczegółowy rozbiór wykaże niepospolite piękności tego dzieła, dotąd nieogłoszonego drukiem.

Rzecz odbywa się w Płocku. Książę Konrad trawi dnie na rozpuście, miód leje się strugą przy stole biesiadniczym. Obok księcia widzimy dwu możnowładzców; jednym z nich wojewoda Krystyn z Gozdowa; mąż prawy, żelaznego ramienia i żelaznéj woli; drugim kanclerz Jan Czapla, ulubieniec księcia, intrygant.

W akcie pierwszym kanclerz przemyśla, jak zgubić nienawistnego mu wojewodę.

Trzeba się bronić wszelkiemi sposoby,
Trzeba w grę puścić pazury i dzioby:
I lisie kity i szpony jastrzębie;
Trzeba pokazać żeśmy nie gołębie,
Ani kokosze...

Przybywa Mazur Wojtaszek; wraca od Jadźwingów i Litwinów, wysłany tam w celu zawiązania przymierza z sąsiadami. Zdaje sprawę z różnych swych zabiegów.

Przymierza pojąć nie chcą, czy nie mogą;
Jadźwing powiada że on już przymierze
Zawarł z powietrzem piersią, z ziemią nogą,
A ręką z dzidą...
Przy jego wodzu zasiadł po prawicy
Głód drugim wodzem, a chłód po lewicy
Jako wódz trzeci; on to chce i to wié
Co chcą i co mu rzekną ci wodzowie.

Z nim próżno gadać! on z biedy urąga;
Gdy ostrzy topór albo łuk naciąga,
Dostanie sobie czego mu potrzeba:
Strzałą poleci po ptastwo do nieba,
W las po zwierzynę, a za brody Narwie
Toporem skoczy po skopy, po karwie,
Po sadło, krupy, po chleb, po kożuchy,
I po żelazo; zresztą ślępy, głuchy...
. . . . . Z Gerosem z za Niemna,
Też o przymierzu mowa nadaremna,
Uczucie jeszcze z rozumem tam w buncie:
Sadzić przymierze na tym dzikim gruncie,
To gruszki szczepić na wierzbie, na sośnie.
Nim ujrzą światło, co na krzyżu rośnie,
Póty tam marne wszelkie nasze trudy.

Kanclerz usnuł już plan zdradziecki; czas mu przystąpić do działania; wypowiada myśl swoję Mazurowi. Wszystek lud Mazowsza rozmiłowany w wojewodzie: potrzeba skłonić ten lud, aby krzyknął pod zamkiem:

„Być Krystynowi na miejscu Konrada."

Wojtaszek nie pojmuje zrazu, co to znaczy? Zna on nienawiść kanclerza do Gozdawy. Zkądże tak nagła zmiana?

— Nie idzie tu o rzecz ale o słowo, rzecze kanclerz; niechaj pogróżka będzie przestrogą księciu Konradowi.

Prostoduszny Mazur odtrąca tę myśl ze wstrętem:

Rzecz niebezpieczna powierzać to sile:
Co budzi siłę wiekami uśpioną.
Jeśli lud dzisiaj rozrządzi koroną,
Jutro głowami, a pojutrze wszystkiém
Rozrządzać zechce, i bawić się będzie
Wszystkiém, jak dziecko słomką albo listkiem.

Kanclerz usiłuje złamać ten opór, w kilku śmiałych rysach kreśli obraz księcia Konrada:

Nie widzisz
Chmury nad sobą? piorun w niéj gotowy!
Wiesz, książę w długie nie wdaje się mowy;
Weźmie do ucha co mu podam o kim,
W chwilę po rzkomym namyśle głębokim:
Milcząc, osobę palcem tylko wskaże,
Albo wymówi nazwisko, a straże
Ojcze nasz zmówić zaledwie pozwolą:
Oderzną język, lub oczy wykolą;
Zetną, powieszą, lub w wieży na spodzie
Na wieki zamkną o głodzie, o chłodzie!

Wojtaszek. Straszne to rzeczy, myśl o nich przeraża,
Mrowie przechodzi, podnoszą się włosy:
Duch z piersi krzyczy gwałtu w niebogłosy!

— We mnie znajdziesz obrońcę! — zawoła kanclerz; — wykonaj moje rozkazy a hojnie cię nagrodzę. I rzuca mu kiesę pełną złota.

Wojtaszek odtrąca z pogardą złoto; kanclerz klaszcze w ręce: wchodzą dwaj zbrojni słudzy:

— Do wieży! krzyknie pan, ukazując Mazura.

Wojtaszek. Jakiémże prawem?
Kanclerz. Do silnych należy
Takie pytanie.
Wojtaszek. Bezprawie!
Kanclerz. Do wieży!

Droga do zbrodni stanęła otworem. Wchodzi Skórka; w nim kanclerz znajdzie powolne sobie narzędzie. Skórka wyciąga chciwie rękę po złoto.

— Nie pora jeszcze! —zawoła kanclerz—to złoto wówczas dopiéro przejdzie w ręce twoje:

Gdy wielka ludu wykrzyknie gromada:
„Być Krystynowi na miejscu Konrada!”

Skórka wybiega co tchu; nagle daje się słyszéć tętent koni. Kanclerz pokraśniał radością; patrzy w okno, widzi dwu rycerzy w białych płaszczach; mówi sam do siebie z tryumfem:

Henryk de Salza, wielki mistrz krzyżaków,
Jak to oznajmił listem, śle tu posły:
Z Jerozolimy oręż wyniesiony,
Pragnie poświęcić dla naszéj obrony;
A wybrał porę, jakby mu do ucha
Dostał się z nieba szept Świętego Ducha!

Podczas gdy kanclerz przyjmuje posłów, akt drugi wprowadza nas do izby radnéj. Spotykamy tu księżnę Agazyą i wojewodę Krystyna. Księżna ze zgrozą słucha szalonych okrzyków, dobiegających z ościennéj sali, gdzie książę biesiaduje z drużyną. Ona tu czuwa nad dziećmi swemi jak lwica nad lwięty swemi; odgania ich od tych progów, aby im do ucha nie docisnął się odgłos rozpustnych pieśni. Krystyn uspokaja księżnę:

Nierozpaczajmy o księcia Konrada,
Bądźmy cierpliwi. Nastąpią przemiany;
Ja się narażę, nie zostawię pola
Językom hańby, rozpusty, tyraństwa,
Nie wezmą góry krewkość i swawola;
Na pastwę zbrodniom nie zostawię państwa;
Na pastwę czerwom tronu nie zostawię!

Wchodzi Konrad z płomienistém obliczem; odtrąca napomnienia Krystyna; słowa jego ostre jak noże, godzą w pierś nieszczęśliwéj Agazyi. W piękném świetle poeta ukazuje nam tę rusinkę:

AGAZYA. Życie moje lepsze
Tam pozostało, gdzie ty, miły Dnieprze,
Okolicami w urok ciągnącemi,
Wodą swą zdrową, silną i szeroką,
Fal rozigranych gędźby szumiącemi,
Myśl mą bawiłeś, czarowałeś oko!
Czemuż to oko wtedy nie pobiegło
W strony przeciwne, w strony te Wiślane,
Gdzie mnie czekały dni łzami zasiane?
Czemu przeczucie wieszcze nie ostrzegło
Serca mojego, że mi będzie biada,
Jeźli zostanę małżonką Konrada?
Czemu kazano milczéć memu sercu
I moim ustom, kiedy oznajmiono
Że czas mi stanąć na ślubnym kobiercu,
I złego męża na wieki być żoną?

Akt trzeci odbywa się w téjże sali radnéj. Konrad siedzi na tronie otoczony dostojnikami. U stóp tronu staje wojewoda Krystyn, wyrzuca księciu wbrew, niezliczone gwałty i bezprawia. U podnóża zamku tymczasem, gromadzą się tłumy szlachty; słychać piorunujący wykrzyk:

„Być Krystynowi na miejscu Konrada!"

Przerażony Krystyn, zgaduje matactwa kanclerza; wybiega przeciw tłumom, pragnie uspokoić umysły. Kanclerz tymczasem podsyca gniew książęcy. Konrad woła szalony gniewem:

Te oczy, które mych postępków strzegą,
Jak owiec w polu czujne psy pasterza:
Chcę się uwolnić od tych oczów jego!

Słowo stało się czynem. W czwartym akcie, kanclerz Czapla stawa przed księciem z misą w ręku:

KANCLERZ. Oto są oczy, które wglądać śmiały
W twoje postępki, książę nasz a Panie!
KONRAD (*odwracając się*).
Jakże straszliwe! nie patrzéć mi na nie!
KANCLERZ. Nie będą więcéj w postępki wglądały!
KONRAD. Okropnie patrzą!... żywe jeszcze... żywe,
Precz mi... precz z niemi... piekielnie straszliwe!
Niech je psy zjedzą, albo je zakopać
Głęboko, wodą święconą pokropić,
Krzyż osinowy postawić nad niemi,
Ażeby upiór nie wyniósł ich z ziemi!...
. . . .
Wszędy je widzę, kędy się obrócę,
Kędy spojrzeniem, kędy myślą rzucę,
Wszędy są one; ściany patrzą niemi;
Sprzęty, drzwi, okna, wszystko ma je w sobie!

I patrzy na mnie...
(*zakrywa oczy rękami*)
W jak strasznym sposobie
Patrzą na myśli!
(*do Kanclerza*)
Ty także masz je na piersi, na rękach,
Na czole!... Precz! precz!

Wchodzi Agazya. Po chwili Krystyn, z twarzą przewiązaną, spokojny, ale staje przed tronem, usprawiedliwia się z zarzutów:

Książę niewdzięczny! O! mogłżeś dać wiarę?
Jażbym to ciebie chciał tronu pozbawić,
I to, gdy w lata zabrnąłem już stare,
Gdy nie mam komu spuścizny zostawić?
Wiadomo przecię że z trzech moich synów,
Najstarszy Konrad, cnéj otuchy młodzian,
Pod Zawichostem poległ chwałą odzian;
Leszek w niewolę pojman od Litwinów,
Żadnéj o sobie nie dał wiadomości;
A Kazimierza bardzo młode kości,
Od pruskiéj strony granic księztwa strzegą!

Wkoło zamku wzrasta szalona wrzawa, mieszczanie z ludem wiejskim wciskają się gwałtem do sali.

KONRAD. Czego tu chcecie?
BARTOSZ (*przewódzca ludu*)
Przychodzim na krzyk zbrodni,
Bez zapytania, godni czy nie godni.
KONRAD. Precz!
BARTOSZ. Wydarliście oczy wojewodzie,
A naszym oczom i rękom cierpliwość.
Krzyk grozy w całym ozwał się narodzie;
Lud mazowiecki wszystek pomsty woła.
(*do wojewody Krystyna*):
Ojcze! ty naszemi
Będziesz oczyma! byłeś naszą głową,
Ty byłeś ścianą mazowieckiéj ziemi:
Prusowie ciebie bogiem polskim zową,
Polscy cię zową wielkim wojewodą,
My cię zwiem ojcem! Za serca nas wiodą
Gdzie chcą twe słowa; spełnim twe rozkazy;
Mścić się nie będziem naszych serc obrazy,
Na cichy smutek do domów powrócim.
KRYSTYN. Ludu mój pełen cnót i poczciwości,
Kto cię nie kocha, nie godzien miłości;
Niegodzien szczęścia, kto na myślach nie ma
Szczęścia twojego! kto z tobą nie trzyma,
Z tobą nie czuje co się czuje w niebie,

Z grzechów i ziemi oczyszczoną duszą!
Warto żyć z tobą, warto żyć dla ciebie.
Kogo twe cnoty do cnoty nie zmuszą,
Nad tym zapłakać: żale go osiędą,
Szponami sępów targać serce będą.
Niema fal zwrotnych w czasu oceanie:
To co się stało, już się nie odstanie.

Wojewoda błogosławi lud, opuszcza salę; lud odchodzi spokojnie za nim.

Kanclerz podsuwa księciu myśl piekielną:

Trzeba ten związek przeciąć i tę głowę
W ziemię na wieczny spoczynek przesadzić;
Bo ufać mędrzec może tylko grobom!

Konrad przyzwala. Gdy kanclerz odszedł, książę mówi szyderczo sam do siebie:

Jako dwa duchy o człowieka duszę,
Tak ci o władzę nademną spór wiedli,
Nazbyt mi w życie obadwa się wwiedli:
Więc od obydwu uwolnić się muszę.
(*Wchodzi do sali biesiadniczéj, woła w progu:*)
Cóż tak milczycie? czy już macie zadość?
W górę szklenice, krużе i puhary!
Niech żyje wolność! niech nam żyje radość!

GŁOSY. Niech żyje książę!
KONRAD. Niech żyje miód stary!

W akcie piątym występuje nemezis z mieczem w ręku. Wojewoda już zamordowany. Wieść o skonie sprawiedliwego, doprowadza lud do wściekłości. Serca pałają zemstą. „Krew za krew!” wołają Mazury. Nagle rozbiegł się okrzyk: gore! Wpada zdyszany goniec:

Prusacy czernią wielką na Płock walą,
Po drodze sieją okropności znaki:
Mordują, burzą, rabują i palą.
Te wkrąg pożary ich dziełem!

TŁUM. Prusaki!

Przypada Wojdewunt z oddziałem zbrojnych Prusaków. Zabrakło ramienia Krystyna! Któż zastąpi im drogę?

Wojdewunt domaga się łupów; rzuca wbrew księciu straszne słowa:

Wkoło po całém mazowieckiém niebie,
Rozwiesiliśmy czarne i czerwone
Płachty pożarów, gwiazdom na zasłonę;
Posypaliśmy kościołów popiołem!

Przerażony Konrad przyrzeka łupy.

— Nie ma cię, wojewodo!—woła tłum rozpaczliwie.—Biada nam!

Bartosz z garstką mieszczan i kmieci przynosi trumnę i stawia ją przed księciem.

BARTOSZ. Sąd jest w téj trumnie... trumna wojewody!
Ta trumna woła o głowę za głowę!
LUD. Głowa za głowę!
KONRAD (*ukazując kanclerza*). Macie winowajcę!
Lud chwyta kanclerza Czaplę, chce go rozszarpać.
KAT (*występując*). Odstąpcie! do mnie on należy.
BARTOSZ (*do ludu*). Tak, nieinaczéj; niech go weźmie sobie,
Niech sprawiedliwość po ludzku wymierzy.

Kat uprowadza zbrodniarza. Dwaj komturowie w białych płaszczach, istne widziadła grobowe stoją w milczeniu; szyderczy uśmiech przebiega im po ustach.

VIII.

Koroną prac dramatycznych Olizarowskiego, to tragedya *Rognieda*. Piękny utwór posłany w roku 1872 na konkurs do Krakowa, stał się powodem żywych rozpraw między literatami i ciekawéj ich korrespondencyi z autorem.

Przedmiot dramatu nadzwyczaj zajmujący. Pierwszy to raz tradycya historyczna Rusi z czasów, które poprzedziły Unią, wprowadzoną została na wielką skalę do naszéj literatury. Poprzednio już Bogdan Zaleski opiewał Kija, Szczeka i Chorewę, założycieli Kijowa i Radyma co przywiódł Lechów z nad Wisły ponad Sożę [1]); śliczne to poemaciki, wielkiéj doniosłości, jak wszystko co wychodzi z pod pióra Bogdana, ale pierwszy Olizarowski przedstawił w dramacie ważną chwilę przełomu w historyi krajów naddnieprzańskich, kiedy ostatni najazd Warego-Rusów zniszczył do gruntu potęgę miejscowych książąt, i ustalił na kilka wieków udzielność Rusi. Walka dwu odrębnych żywiołów: słowiańskiego i normandzkiego, tak dramatyczna sama przez się, żywo poruszyła poetę; pociągnęła go niemniéj żałosna postać księżniczki połockiéj Rogniedy; któréj gorzką boleść uwiecznił lud w podaniu, zowiąc ją Gorysławą. Rodowód poematu dobrze nam znany; widzieliśmy bowiem, jak ziarno rzucone przyjazną ręką etnografa, badającego wyłącznie tę epokę, zakiełkowało poraz pierwszy w myśli poety, nim wyhodowane pracą wytrwałą, wybujać miało złotym plonem.

Tradycya mówi, że Włodzimierz, syn księcia kijowskiego Światosława, zrodzony z niewolnicy, schronił się po śmierci ojca do Skandynawii, podczas gdy brat jego Jaropełk objął dziedziczne księztwo. Dumny witeź, nie oddał przecież za wygraną. W ciągu lat dwu, gromadzi niezliczone drużyny Normandów, powraca z nimi, podbija nasamprzód księztwo połockie; ztąd kroczy zwycięzko do Kijowa i całą Ruś zagarnia pod swe rządy.

[1]) Rzeka Soża wpada do Dniepru w gubernii Smoleńskiéj.

Poeta rozpoczyna rzecz w Połocku na zamku starego księcia Rochwołoda. Władymir przybywa tu nie jako wróg, lecz jako sprzymierzeniec; pieczęcią miru niechaj będzie ręka córki Rochwołodowéj, Rogniedy. Młody książę nie widział jéj dotąd, ale wieść o jéj wdziękach dobiegła mu do ucha; bądź cobądź on musi ją poślubić.

Rochwołod odmawia wręcz; sława Władymira nie olśniewa go wcale: sława to straszna, oblana krwi potokiem.

Słyszy to Władymir; w krótkich słowach wypowiada, dokąd idzie: zakreśla szeroki plan na przyszłość:

Krew dla mnie niéma przyjemnych zapachów;
Miecz w garść mi wrasta, nie dla próżnych strachów:
Sławą nie gardzę, lecz pewno nie dla niéj
Zasypiam późniéj i budzę się raniéj
Niż me bojary, niż drużyny moje.
Nie, nie dla sławy, tak w zimie jak w lecie,
I stół, i łoże mam na końskim grzbiecie;
I wiodę prawie bezustanne boje:
Wolałbym mirem do tego dochodzić,
Do czego muszę przez morze krwi brodzić.
Myśl mam po białym bogu, myśl jedności,
Wkoło bóg czarny trzyma serca w złości.
Miecz zatém ciągle muszę kłaść na wadze:
Mieczem przeważam, mieczem drogi gładzę,
Po których dążę do jedności Rusi,
I na Peruna! ta jedność być musi!...
Przechwałki u mnie miejsca miéć nie mogą,
Bo idę wielką a otwartą drogą;
Co myślę, mówię; a co mówię, czynię;
Więc co tu rzekłem z wiatrem nie przeminie:
Rognieda będzie kijowską kniahinią,
Moją małżonką, Rusi hospodynią!

— Niechże Rognieda sama wyrokuje o swoich losach—rzecze na to Rochwołod i przywołuje córkę. Księżniczka wchodzi z matką.

— Taką widziałem w snach moich!—zawołał Władymir uderzony jéj wdziękiem;—takiéj napróżno szukałem dotąd po świecie!

Rognieda z dumą patrzy na zuchwałego Normanda. Zagadniona przez ojca, odrzuca z silném postanowieniem:

Nie Rogniedy ręka
Rozwiąże trzewik syna niewolnicy!

Duma ta silniéj jeszcze pochwyca za serce Władymira: zawoła z uniesieniem:

O! jakżeś dumną nierozumna!
Będziesz mą żoną dlatego żeś dumna,
Mnie trzeba żony dumnéj, okazałéj;
Mnie trzeba żony, żebym Rusi całéj,

Całemu światu miał co pokazywać!
Byłaś niemądrą, byłaś nieprzezorną;
Potrzeba było z dumą się ukrywać,
Trzeba ci było być zwykłą, pokorną,
Potulną, drżąoą przed mojém wejrzeniem,
Kraśnie oblaną dziewiczém spłonieniem,
Sługi nie pani i być nie orlicą
Przedemną orłem, ale gołębicą:
Już nie być moją, chciałabyś daremno!

ROGNIEDA. Nie będę twoją!

Wyrzekłszy to, odchodzi. Na przedstawienia matki, dumny witeż odpowiada stanowczo:

Władymir mówi, druga wola Boża
Mówi na ziemi: nim zaniesie Dźwina
Dań od Połoty do Waregów morza,
Rognieda będzie niewolnicy syna
Panią i sługą! Kniaziu Rochwołodzie,
Myśl więc o godach, a nie o przeszkodzie.
W obozie czekam: biada będzie, biada,
Jeśli cierpliwość moja zawiedziona,
Rogiem bawolim w téj stronie zagada!

Władimir oddala się. Dwaj synowie Rochwołoda wracają z łowów. Przywołana Rognieda powtarza stanowczo, co wyrzekła przed chwilą.

Moja odpowiedź jedyna,
Nie będę żoną niewolnicy syna!

— Co czynić, ojcze?—zapytują synowie.—Rochwołod nie chce łamać oporu córki: rozkazuje chwycić za oręż.

Bądźmy natychmiast gotowi do boju,
Niech wszyscy zdatni wystąpią do wojny;
Dwoma pułkami zebrany lud zbrojny,
U Perunowych i Torowych progów,
Modłami wezwie pomocy tych bogów.
Potém ruszycie ku Kijowskiéj stronie,
W miejscach dogodnych staniecie taborem
Z pułkami swymi: Igor zajmie błonie,
Bliższe granice; Jaropełk pod borem.
Stać w gotowości, porządku i zgodzie;
Ja z bojarami znajdę się w odwodzie.
Jeśli Władymir granicę przekroczy,
Zabieżym drogę i spojrzym mu w oczy.
Liczbą, zaiste, silniejsi wrogowie,
Słabszym więc liczyć godzi się na męztwo,
Na um, na ducha, na bogów; bogowie
Niezawsze liczbie przyznają zwycięztwo!

W drugim akcie Rognieda stoi drżąca w oknie komnaty zamkowéj. Żali się na smutną dolę swoję.

Już wyszli bracia; stoją tam, pod borem:
Ojciec wyruszył z witeziów doborem;
Oni nie dadzą biédnéj swéj Rogniedy:
Oni mnie swoim zasłonią orężem.
A nie... to wtedy... tak jest, to i wtedy
Syn niewolnicy nie będzie mym mężem!

Wygląda oknem, patrzy na rzekę płynącą u stóp zamku.

O, moja Połoto!
Smutne na tobie dziś słoneczne złoto,
A twoje fale śpieszą się do Dźwiny,
By z nią ztąd uciec do innéj krainy.
U twoich brzegów, jak przed straszną tuczą,
Myśli się kryją w zwiry, w zielska, w kości,
Po twoich głębiach topielce się włóczą,
Miejsc wyszukują do przyjęcia gości.
Straszne, krwi pełne, łez pełne godziny,
Przyniosły tutaj normandzkie Rusiny;
We mnie przyczyna wielkiéj téj niedoli,
Przyczyna we mnie, lecz nie z mojéj woli!

Wpada matka; na obliczu jéj rozpacz: „Biją się!—woła—goniec przybiegł z obozu."

Już bitwa się toczy,
Mało co mogły widziéć jego oczy;
Taką kurzawą pokryło się błonie
I słyszéć tylko jak krzyczą bojary,
Jak chrzęszczą zbroje, rżą i tętnią konie,
Jak nad tumanem strzał latają chmary!

Rognieda załamuje ręce: „O, matko!—rzecze—zapłacz nademną, jam sprowadziła to nieszczęście!

— Duma twoja gubi nas!—odpowie matka!

ROGNIEDA. Czyjaż wina?
Za czyją sprawą duma jako cnota
Weszła w mą duszę, przeszła do żywota;
Na straży uczuć stanęła boginią,
Któréj ofiary ze wszystkiego czynią?

ROCHWOŁODOWA. Nawet z rodziców?

ROGNIEDA. Ach! jakież to słowo
Wyrzekłaś matko. (*po chwili*).
Jakże się poświęcę?
Cóż ja uczynię z tém sercem? z tą głową?
Ha! niech związaną za nogi, za ręce,
Do stóp synowi niewolnicy rzucą
I pieśń pogrzebu ze smutkiem zanucą!

ROCHWOŁODOWA. Ojciec i bracia twoi i bojary

Będą woleli bić się do ostatka,
Niżeli przystać na taką sromotę.

ROGNIEDA. Wiem co uczynię....

ROCHWOŁODOWA. Patrzysz na Połotę!

ROGNIEDA (*całując matkę po ręku*).
Matko! kochanie moje, niech przynajmniéj
Gniewu twojego moc nie spada na mnie;
Gniewu twojego nad wszystko się boję:
Gniew twój przechodzi wszystkie siły moje!
(*upada na kolana*).
Zabij mnie, matko! zabij; lecz pożałuj,
Złóż mnie na mary, na marach pocałuj
I oblej łzami!...

Nagle powstaje zgiełk; zabrzmiały trąby Władymira: tłumy z okrzykiem pędzą na zamek. Rochwołod staje w progu komnaty.

— Uciekaj!—woła—wszystko stracone!
Uchodź natychmiast, nim przejdą Połotę!

Córka wybiega z matką. W téjże chwili wpada Władymir.

— Gdzie Rognieda?—woła wściekłym głosem.—Nie skryjesz jéj przedemną, kniaziu Rochwołodzie! Rozpędziłem twoich witezi, ubiłem synów twoich, alem oszczędził ciebie, abyś patrzył na szczęście, na chwałę córki twojéj! Ja zastąpię ci synów.

ROCHWOŁOD. Na to nie zdoła przystać moje serce:
Ja ojcowskiémi patrzyłbym oczyma,
Na okrutnego mych synów mordercę?
Nie! między nami pojednania niéma!

WŁADYMIR. Tam walki były, nie mordy, nie rzezie,
W boju otwartym legli, jak witezie,
Synowie twoi i większém ich męztwo
Stało się dziwem, niż moje zwycięztwo!

— Przebaczę ci!—zawoła Rochwołod—lecz pozostaw nas w żałobie naszéj: ustąp czémprędzéj z tego zamku!

— Nie ustąpię!—odrzecze książę.

— Przejdziesz chyba po trupie moim!—krzyknie starzec—jeśli polegnę, przekleństwo ci na wieki!

WŁADYMIR. Podobna mowa twoja do szczekania
Psa na łańcuchu! Twéj klątwy pioruny
Mnie nie dosięgną, bom ja kniaź nad kniazie,
Bo wciąż nademną gwiazda Rusi świeci!
Z drogi! w odpowiedź grozisz mi żelazem,
Bądźże z synami pogrzebiony razem!...
(*Biją się. Rochwołod ranny zataczając się na ławę*).
O! bądź przeklęty! ty i twoje dzieci!

Włodzimierz wysadza drzwi, którémi wybiegła Rognieda. Rochwołod usiłuje powstać... napróżno!... Krew strumieniem bucha mu

z piersi. Wtém okrzyk dobiega do uszu starca; z rozpaczą poznaje głos córki.

ROGNIEDA (*wbiegając*). Ratunku, ojcze! Okropna godzina!
Ten potwór Wareg!
ROCHWOŁOD. Co? tyś nie uciekła!
ROGNIEDA. Tyś ranny, ojcze!
ROCHWOŁOD. Bądź zdrowa, jedyna!
WŁADYMIR (*przypadając do Rogniedy*).
Musisz być żoną niewolnicy syna!
ROGNIEDA. Na dnie Połoty!
(*rzuca się przez okno do rzeki*).
WŁADYMIR. Choćby na dnie piekła!
(*rzuca się za nią*).

Na tém kończy się część pierwsza trylogii. Następuje dziwnie poetyczne *intermedium*. Stary lirnik z wędrownym gęślarzem schodzą się późno w noc nad brzegiem Połoty. Lirnik przyrósł do murów na pół powalonego zamku. On tu niegdyś przychodził znad Horynia; stary kniaź połocki Rochwołod, rad słuchał jego dumek. Chętniéj jeszcze słuchała ich cudna Rognieda; tęskniła za niemi, „jak za pączkiem róży, jak za śpiewem słowiczym."

Wyglądała mnie téż co wiosna, mówi Lirnik:
A ja w gościncu, po zwyczaju muszę
Przynieść na dumki przerobioną duszę!
— Biada jéj!—przerwie wędrowny gęślarz.
Znasz-li ją bracie?
— Idę od Kijowa!
— A co tam słychać?
— Powiadają w mieście
Że już kniachinia wypłakała oczy!

Tu gęślarz smutny kreśli obraz Kijowa: krucy i wrony czarnémi skrzydły przyćmiewają tam słońce; Rusałki z nad Dniepru uciekają na Wołyń. Złowrogi to znak wojny. Łzy kniahini ściągnęły niedolą!

Lirnik potrącił w struny: *Hore meni, hore!* zanucił drżącym głosem, a potém zwraca się do czasu, kiedy krew strugą czerwoną ściekała do Połoty. On tu był... widział jak okrutny Wareg siekł Połoczan, niby trawę na łące. Opowiada wreszcie straszliwą katastrofę.

Wtém posłyszałem z zamku przeraźliwe
Krzyki niewieście: zerwę się na nogi,
Krzyknę: nieszczęście! chcę biedz... w téjże chwili,
Kniaziówna z okna, jasną błyskawicą
Skoczy w Połotę... kniaź Władymir za nią,
A ja za nimi; a potrzebny byłem,
Bo kniaź Władymir, gdy Rochwołodównę
Ciągnął za kosę; że był cały w zbroi,
Na wierzchu wody nie mógł się utrzymać.
Ratunku wołał: w sam czas podpłynąłem,

Wyratowałem, lecz jak teraz widzę,
Lepiéjby było nam, we trojgu zostać
Na dnie Połoty!

Gdy to mówi, brzeg nagle pobielał: na zamkowym teremie ukazują się cztery widma. To duchy pomordowanych książąt połockich. Stary kniaź i synowie w zbroicach, kniahini owiana wkoło białym rąbkiem. Rochwołod skinął na lirników, chwilę pogwarzył z nimi. Co im rzekł? niewiadomo; rękę tylko wyciągnął w stronę Dniepru.

Trzecia część trylogii przenosi nas do Kijowa. W komnacie zamkowéj Rognieda siedzi nad krośnami, u nóg jéj bawi się pięcioletni synek Izjasław. Wchodzi Władymir, trzyma w ręku wieniec wyrzeźbiony z korali, chce nim ozdobić bogatą kosę żony. Rognieda zrzuca wieniec na ziemię i zawoła z dumą:

Ja chcę wolności, nie drogich kamieni!
Nie szat kosztownych! chcę miejsca przestrzeni,
Gdziebym przynajmniéj nie widziała ciebie!
Zamiast purpury, złota i atłasów,
Daj mi pustynią, wypędź mnie do lasów,
W najdziksze puszcze! na własnym pogrzebie,
Z uśmiechem pójdę płakać na wygnaniu;
Znośniejsze dla mnie bezwodzie, bezchlebie,
Niż z tobą życie!.. wypuść!..

WŁADYMIR. Nie wypuszczę!

Nienawiść Rogniedy podnieca jeszcze miłość małżonka. Błaga ją tylko, by zaniechała próżnych łez.

Twe łzy nie pomogą!

ROGNIEDA. Wiem, że masz duszę okrutną i srogą,
Gorzkiemi łzami przeklinam mordercę
Drogich rodziców i braci rodzonych,
Połoczan za mnie w Dźwinie potopionych!
Pobitych w polu, płacze moje serce!
Ale przestanę płakać niezadługo,
Przestanę łez być nieudolną sługą
I niewolnicą syna niewolnicy.
Z serca wolnego od łez wydobędę
Straszną moc zemsty i gotową będę,
Choćby na zbrodnię!

WŁADYMIR. Kłamiesz! ja znam ciebie:
Tyś nazbyt dumna!

ROGNIEDA. We łzach me zamiary
Tonęły dotąd, niby senne mary,
Ale przestanę płakać! Z suchém okiem,
Bez serca stanę przed zemsty wyrokiem.
Z pustyni serca twego jęk wywołam;
Zdołam ukarać niedoli méj sprawcę.

Chcesz się dowiedziéć, co umiem, co zdołam:
Przypatrz się syna twojego zabawce.

WŁADYMIR. Bawi się nożem!

IZJASŁAW (*do figurki z drzewa, ubranéj jak Władymir*).
Ja ciebię zabiję,
Bo ty zabiłeś moję babkę, dziadka...

WŁADYMIR (*do dziecka*). Któż cię nauczył takich rzeczy?

IZJASŁAW. Matka!

ROGNIEDA. Nie powiesz teraz, żem niezdolna zbrodni!

WŁADYMIR. Szalonéj groźby...

ROGNIEDA. Radzę ci, tym nożem
I mnie i dziecko pokrajać na sztuki,
Zamknąć w grób mocny i grób nakryć morzem,
Albo głębokim Dnieprem, albo ziemi
Na setne łokcie bryłami grubemi,
Aby nie wyszły na wierzch, nie wyniosły
Nasienia zemsty...

Władymir wydziera nóż z rąk dziecka,rzuca na ziemię, uprowadza syna z komnaty. Rognieda uniesiona rozpaczą pochwyca nóż, biegnie ku drzwiom; nagle zatrzymuje się w progu.

Otóż na progu postawiłam nogę
I oto progu przestąpić nie mogę!

I nóż wypadł z jéj słabéj ręki. W téjże chwili wchodzi kniaź Borys na Sławucie, zacięty wróg Władymira. Jemuto niegdyś stary Rochwołod, przyrzekł był rękę córki; o nim to lirnik znad Horynia śpiewał dumki młodéj księżniczce. Kniaź Borys przebywa na dworze kijowskim, patrzy na łzy Rogniedy i krwawy zamiar pomsty dojrzewa w jego głowie. Nienawiść podsuwa mu myśl zdrady. Wchodzi w zmowę z hordami Pieczyngów, koczujących po stepie zadnieprzańskim. On uderzy z nimi na Kijów, wydrze Rognieję ze szponów okrutnika, splamionego krwią rodziców jéj i braci. Oznajmia Rogniedzie tajemny zamach. Księżna z oburzeniem powstaje przeciw zdr adzie, nie chce wolności, okupionéj krwią nowych ofiar.

Poeta wysoko podniósł ideał bohatérki; najdrobniejszą skazą nie przyćmił jéj oblicza. Jeśli w głębokich tajnikach jéj serca podzwaniało echo dumki, którą lirnik znad Horynia śpiewał niegdyś o kniaziu na Sławucie, nigdy małżonka Władymira, nie przepomniała godności własnéj. Cześć jéj świeci jasno, jak słońce.

Władymir zbroi się, powołuje drużynę, gotów uderzyć na Pieczyngów. Zwietrzył on zdradę Sławuckiego, ostrzy miecz na kark zuchwałego lennika. Rognieda uwiadomiona o tém przez cygankę, ostrzega księcia Borysa, wyprawia do niego wierną laszkę Wisławę: niech ubiega, gdzie go oczy poniosą, inaczéj śmierci nie chybi!

W ostatnim akcie widzimy Rogniedę obok Wisławy. Laszka zdaje sprawę z poselstwa: książę Borys bezpieczny.

WISŁAWA. Już jemu
Nic tu nie grozi, widziałam z teremu,
Jak na brzeg drugi czółnem Dniepr przepłynął:
W świat pomknął koniem i z oczu mi zginął.

Silny węzeł łączy serce Rogniedy z sercem laszki, tém silniejszy, że Wisława znalazła balsam na rany pani swojéj: cierpiącéj ukazała krzyż cierpiącego Zbawiciela.

Księżna patrzy z uczuciem w błękitne oczy branki, przyciska ją do piersi.

ROGNIEDA. Laszko, my siostry, chociaż my oczyma
I licem różne; ja rzadko wesoła,
Ty rzadko smutna; lecz różnicy niéma
W sercach i duszach naszych: prawie jedna
Dola nam, tylko że ja więcéj biédna!
I z twojéj wiosny pozrywano kwiecie,
I ciebie błogiéj pozbawiono doli,
I ciebie gwałtem wzięto do niewoli.
O! i ty biédna! źle nam, źle na świecie!
Ja ciebie kocham, boś ty zawsze szczera,
I zawsze dobra; nigdy twoje usta
Sercu nie kłamią; czy ci twarz ubiera
Złota wesołość, czy jaka myśl pusta
Przez skroń przebieży, śmieją się oczęta;
A z tego śmiechu widać jak na dłoni,
Że w sercu twojém mieszka dobroć święta.

WISŁAWA. Długo méj duszy smutek się nie trzyma,
Bo nad mém sercem i nad duszą moją,
Pan Jezus czuwa swojemi oczyma.
A Jego oczów złe myśli się boją.
I smutki wiedzą, że On przyszedł po to,
Ażeby kwitło na ziemi wesele,
Wielkie wesele i w duszy i w ciele.

ROGNIEDA. Sercež ty moje! moje szczere złoto!
(całuje ją).
Pokażno krzyżyk!...
(Podany krzyżyk bierze do ręki, wpatruje się w niego).
Bóg cierpień, Syn Boży!
Pan Jezus Chrystus... Daj mi go!...

WISŁAWA. Z ochotą.

ROGNIEDA. Wiész co? wiész ty co, laszko moja droga,
Niech co chce będzie, niech się Perun sroży,
On tylko srożyć się umié... Mnie Boga
Trzeba innego... Bóg cierpień!... Syn Boży...
Pan Jezus Chrystus... Bóg cierpień!...
(całuje krzyżyk).

WISŁAWA. To mój Bóg!...

W téjże chwili wpada Władymir z orszakiem. Drugiemi drzwiami wchodzi lirnik, staje pokornie w progu. Książę wściekły gniewem, przypada do Rogniedy, wyrzuca jéj zdradę, wie że ostrzegła Sławuckiego.

ROGNIEDA. Jakie ty masz prawo
Zwać mnie zdrajczynią?

WŁADYMIR. Jakie prawo? prawo
Męża do żony, pana do poddanki!

ROGNIEDA. Mów: prawo zbójcy do więzionéj branki.
Branką twą jestem, a nie twoją żoną,
Nie rozwiązałam twojego trzewika;
Byłam porwaną, gwałtem uwięzioną:
Zostaję w mocy wroga, rozbójnika!

Książę grozi śmiercią, odwołuje się do bojarów: ci potwierdzają wyrok.

— Podać mi topór!—woła Władymir i chwyta za mordercze żelazo. Wtém występuje lirnik, staje śmiało przed księciem.

LIRNIK. Kniaziu Rusi!
Topór twój pierwéj przezemnie przejść musi,
Nim pójdzie daléj...

WŁADYMIR. Coto? jak śmiesz? kto ty?
Gdzieś cię widziałem.

LIRNIK. Na falach Połoty,
Siódmy rok temu...

WŁADYMIR. Tyś mnie wyratował?

LIRNIK. Jam wyratował.

ROGNIEDA. Lirnik znad Horynia!
Mój złoty lirnik!...

LIRNIK. Poznała kniahinia!...

— Co cię tu przyniosło?—zapyta księżna.

— Twoja niedola, rozkaz księcia Rochwołoda—odrzecze lirnik— Dla nas znahorów świat duchów niéma tajemnicy.

Gdym z ojcem twoim gwarzył, coś na niebie
Krzyknęło: „ratuj!” wskutek tego krzyku,
Kniaź do mnie rzewnie wyrzekł: „mój lirniku,
Idź na ratunek mojéj nieszczęśliwéj!”

Serce Władymira uderzyło, widok lirnika, który wyrwał go z toni, rozbraja gniew jego. Zawoła do bojarów:

Patrzcie! ten człowiek po bogach ma lico,
Serce u niego w piersiach, orle gniazdo,
A dusza jego patrzy w świat orlicą,
A z jego czoła myśl wygląda gwiazdą.
Ja mocarz, ale tyś mnie przemocował,
Twój duch mocniejszy od mojego ducha:
Żądaj nagrody! mir z tobą... mir z tobą!...

Lirnik odtrąca złoto, nie dba o skarby: co mu po nich?

Władymir poruszony do głębi, rzuca na ziemię topór i po chwili wyrzecze stanowczo:

Zowią mnie okrutnym,
I bezserdecznym; mimo że się srożę,
Prawość, jak twoja, wiele na mnie może;
Ty od mych progów nie odejdziesz smutnym:
Bądźże mi wesół... Oto...
(*wskazując Rogniedę*).
Weź ją sobie,
I Laszkę... zabierz do Połocka obie.

LIRNIK. O! dzięki kniaziu! na góry, na doły,
Sam Bojan pośle złote swe sokoły,
Aby się góry i doliny stały
Szeroko brzmiącém echem twojéj chwały.

Książę odchodzi z orszakiem. Dawno zapomniana radość błyska na licu księżnéj. Ściska kolejno lirnika i Wisławę.

Laszko, my wolne! mój lirniku złoty!
Patrz... to mój Lirnik! przypatrz mu się Laszko!
Będziesz go swoją bawiła igraszką.
Chodźże tu do nas bliżéj na pieszczoty,
No, nie płacz stary...
(*ociera mu łzy*).
Nie mówcie nikomu...
My ciebie, Laszko, odwieziem do domu,
U twych rodziców pogościmy sobie:
Ja siostrą twoją. Pojedziemy obie
Do Mieczysława... on będzie namiestnym
Ojca mojego, ojcem moim chrzestnym.
Księżna Dąbrówka chrzestną matką będzie,
Może téż w ślady za nami przybędzie
Borys do Gniezna, albo do Krakowa.

I oto wchodzą bojary, niosą głowę Sławuckiego na spisie.

BOJAR JEDEN. Gdzie Kniaź?

ROGNIEDA. Ha!... co to?

BOJAR DRUGI. Sławuckiego głowa.

ROGNIEDA. Serce mi pękło!

(*Chwyta się za serce i upada bez życia na ręce lirnika i Wisławy*).

Taką jest główna treść wspaniałéj trylogii Olizarowskiego. Poeta zakończył ją pierwotnie zgodniéj z tradycyą historyczną. Tradycya ta mówi, że Włodzimierz uwolnił Rogniedę i wraz z synem Iziasławem wyprawił ją do Połocka, oddając jéj księztwo Rochwołoda jako dziedziczną własność. Według niektórych historyków, Iziasław stał się protoplastą znanych w dziejach książąt litewskich.

Dramat wykonany według pierwszego pomysłu, dostał się na konkurs krakowski. Zwrócił on uwagę sędziów, szeregiem pięknych scen i wytwornym językiem; zakończenie jednak spokojne, bez mordu

ani samobójstwa, nie odpowiadało ich estetycznym pojęciom. Komitet konkursowy bijąc czołem przed potęgą Władymira, chciał był też same uczucia przelać w serce Rogniedy. Mamy właśnie przed sobą list jednego z piętnastu członków komisyi, pisany do Eustachego Januszkiewicza z prośbą, aby pośredniczył w téj sprawie. Przytaczamy z niego mały ustęp: „Dramat jeśli ma wywrzéć silne wrażenie, powinienby zakończyć się katastrofą. Rognieda, uległszy fizycznie Włodzimierzowi, mogłaby znaleźć się w takiém położeniu, że ujęta jego wielkością, skłaniałaby się w końcu sercem ku niemu i wtédyto wierna dumie, lękając się, aby w wewnętrznéj walce z sobą moralnie nie uległa, mogłaby sobie życie odebrać. Zakończenie to, zdaniem komisyi, byłoby godném wielkiego przedmiotu.”

„Gdyby autor zgodził się na te i tym podobne zmiany, dodaje członek sądu, zyskałoby na tém sceniczne wrażenie dzieła i pierwsza nagroda byłaby mu przyznaną.”

Jeden przecież z pomiędzy sędziów, wytrawny krytyk Karol Witte, podzielał zupełnie pierwotną myśl autora. Napisał do niego list gorący, pochwalał usunięcie ze sceny trupów, których już do zbytku nadużyto. Głos jego nie zdołał przeważyć w sądzie konkursowym.

Poeta acz niechętnie, wykonał jednak zmiany. Poszanowanie tradycyi nie pozwoliło mu wlać w serce Rogniedy uczuć, które uczyniłyby ją podobniejszą do Hiszpanki Chymeny, niż do żałosnéj Gorysławy, jaką lud umiłował i uwiecznił w podaniu. Ta, co nie rozwiązała trzewika Włodzimierza, wytrwała do końca w nienawiści, ale serce jéj pękło; dramat gwoli sędziom konkursowym skończył się katastrofą. Przyznano poecie drugą nagrodę. Prezes komisyi w liście pełnym pochwał winszuje mu utworzenia dramatu i pierwszorzędnych piękności, jakie się w nim znajdują.

Sarkastyczna żyłka zbudziła się w poecie, nakreślił czterowiersz, który znaleźliśmy pomiędzy papierami:

Pierwszorzędne piękności, a nagroda *druga*,
Zapytaj, a odpowiedź nastąpi nie długa.
Pierwszorzędnych piękności racya odpowie:
Nagrodami pierwszemi nie wieńczą w Krakowie.

W rok potém przedstawiono Rogniedę na scenie krakowskiéj. Publiczność zimno ją przyjęła, snać brakło znawców do ocenienia wyższorzędnych zalet dramatu. Rzecz dziwna! utwór téj doniosłości nie był nawet drukiem ogłoszony.

Po przedstawieniu sypnęły się krytyki w pismach warszawskich. Gerwazy w *Kłosach* śmiało zawyrokował, że charakterom brak siły dramatycznéj, a nawet poezyi. Oświadcza, iż Rognieda wygnana ze sceny nie pokaże się więcéj, rad temu, bo go znudziła jako puste marzenie. Dobitniéj jeszcze wyraził się korespondent *Tygodnika Illustrowanego:* ten oskarża autora o zdeptanie wszelkich prawideł, o nieznajomość sceny. Dziwi się i to nietylko własném, lecz powszechném

zdziwieniem, że komisya konkursowa tak słabemu utworowi przysądziła drugą nagrodę.

Pociski te ubodły w serce autora. Odpowiedział na nie satyrycznym poemacikiem, szczodrze zaprawnym solą atycką, pod tytułem: *Zemsta Rogniedy.* Widmo kniahini ukazuje sie poecie, pyta, czemu ją zamordował wbrew prawdzie historycznéj? Autor tłómaczy się jak może: wymaganiem sądu konkursowego, uderza się w piersi, powtarza *mea culpa;* nieprzebłagał ofiary:

Wróć mi moje serce,
Lub upiorzycą będę mordować mordercę.

Tak woła znieważona i znika. Wtém przybiega chmara szatanów: „nie jesteś geniuszem, autorze *Rogniedy!*" zakrzykną ze śmiechem piekielnym.

— Czego chcecie odemnie?—zagadnie poeta—czém mogłem obudzić zawiść waszą?

Zamiast szczęścia, mam oto kilka starych książek,
I przytułek w szpitalach, i taki pieniążek,
Co się skrapia łzą mego własnego anioła,
Co mnie piecze jak ogień, a ograzć nie zdoła.
Zamiast żony mam astmę i smutną mam duszę,
Nię będąc geniuszem, jak geniusz muszę
Tworzyć i cierpiéć za te niefortunne twory!
I miéć was, co jesteście dla mnie jako zmory;
Albo jak tabaczkowe wróble czarnołatki,
Co zabiwszy kanarka wybiegłego z klatki,
Powiadały do siebie patrząc na ofiarę:
Czemu miał piórka jasne, nie bure, nie szare?

Oto inny charakterystyczniejszy ustęp:

Co czynię, przebóg, marzę!... przeszło po mnie mrowie,
Korrespondentów widzę tam oto w Krakowie.
Pozytywne kapłany, doktory, autory,
Cenzory, prelegenty, sędzie, profesory.
Przepadłem, jeśli przez nich wiatr powieje ku mnie:
Zwinę się jako czułek, położę się w trumnie,
Albo nim z astmą w zmowie oddechy mi przetną,
Przez tubę dam ich uszom wiedzieć żem nie Etną,
Ani żadnym wulkanem, ni żadnym Tytanem,
Ni żadnym Herkulesem, ani téż Galwanem
Poruszającym trupy!

Zwraca się w końcu do smutnéj bohatérki.

O, moja nieszczęśliwa! lepiéj było tobie
W ośmiowiekowym cichym i głębokim grobie.

Temu, żem cię ożywił w świecie sztuki Boskim,
Ażebyś znów umarła w teatrze krakowskim!
Cyferblatów, strychulców i desek ofiaro!
Spoczywaj trupem sztuki, lub mścicielką marą
Stań się dla tych, co ciebie z wartości odarli,
I powtórnie zabili, i sami pomarli.
W tym żywym świecie sztuki, gdzie jest Boskie tchnienie,
Gdzie uroki swe tworzą czułość i marzenie,
Oni każą bez uczuć i bez marzeń tworzyć;
Umorzyli poezyą, sztukę chcą umorzyć:
Na nich się mścij, ty córko mojego marzenia,
Poczęta w duchu moim od Boskiego tchnienia!

IX.

Mimo tych nieuzasadnionych pocisków na *Rogniedę*, nagroda konkursowa przyznana poecie naszemu, dała mu w kraju nowy rozgłos. Motty w Poznaniu miał prelekcyą o pracach Olizarowskiego; późniéj nieco wydrukował w *Tygodniku Wielkopolskim* obszerny rozbiór jego utworów; zachwycał się szczególniéj poematem *Bruno*, z którym jak mówi, i krytyka i publiczność obchodziła się dotąd po macoszemu.

Dwa pierwsze akta *Konfederatów barskich*, odgrywane bez przerwy w teatrze krakowskim, grzmiące wywoływały oklaski. Recenzenci *Czasu* podnieśli wyborny język, tętniący echem epoki Zygmuntowskiéj. Uwiadomiony o tych tryumfach listem przyjaciela, poeta smętném okiem rzucił na ten promyczek sławy, który zbyt późno błysnął nad posiwiałą jego głową. Żałosną myśl wyraził w sonecie: *Błędna mara:*

Na Wołyniu, nad Ikwą, pod niebem majowém,
Kiedy mnie wszystko jeszcze trzymało przy szkole,
Łudzicielka szepnęła: wyleć na me pole:
Znajdziesz wielkie tam szczęście, z wielkiém życiem nowém.
Więc na zawszem się rozstał z mém szczęściem domowém;
W świat uniosły mnie skrzydła pawie i sokole,
Na nowe wciąż zawody, nadzieje i bole,
W stolicy-m świata osiadł widmem pogrobowém.
O! sławo! czarodziejko! dziś ty błędną marą,
Przychodzisz poswawolić z moją myślą starą;
Lecz już twoja swawola urzec mnie nie zdoła!
Ofiary tobie składać starość nie pozwala,
Zdala więc czarodziejko, bądź odemnie zdala!
Przyczepiaj twe uroki do młodego czoła!

Zachęcony jednakże namową przyjaciół, wysłał znów na konkurs do Lwowa piękny dramat historyczny: *Krystyna Gozdawę*. Dramat nie

otrzymał nagrody. Dotknęło to poetę; wyśpiewał żal swój dziwnie boleśną skargą:

Pieśń moja rzekła do mnie na wiosnę:
Smutkami rosnę!
Nadeszło lato, mówiła w lecie:
Marne me kwiecie!
I zawołała do mnie w jesieni:
My potępieni!
W zimie latała, w śród burz, przez lody,
Na wieszcze gody.
Poszła, przyniosła ranę do domu,
I wieniec sromu!
I znów ją poślę, i znów ją poślę:
Bo chcę żyć wzniośle;
Choć mnie strącają w doły, na śmiecie,
Dźwigam się przecie:
I zpod kamieni skrzydłami wstanę,
Po nową ranę.

Jakoż poeta nie zwijał skrzydeł, ale roztaczał je coraz szerzéj, wzbijał niemi w coraz to wyższe przestrzenie, gdzie pociski dosięgnąć go nie mogły. W ulotnych poemacikach mamy obraz téj walki ducha, walki zaciętéj, długotrwałéj, która miała skończyć się pełném chwały zwycięztwem. Widzimy naprzód, jak wyswobadza serce z wszelkiego żalu do ludu, jak usiłuje wyrzucić z niego wszelką gorycz:

Jeśli z mego ducha,
I z mego serca wielki żal wybucha:
Wybucha tylko do gwiazd, do obłoków,
I do tych pustyń bezdennych nad światem,
Co są dla świata słonecznych potoków,
Dla gwiazd kwitnących wiecznie jednym kwiatem.
Wulkan ten prędko w głębie swe zapada:
Rozmysł spokojny uczuciami włada;
Pytam się tedy: ażali dla miodów
Żałuje pszczoła troskliwych zachodów:
Moje cierpienia, nie pszczolneż to troski,
Żeby mieć kiedyś nektar życia Boski?

Głos tajemny szepcze mu, że pieśń jego nie zaginie bez wieści, że oddźwięk jéj zadzwoni kiedyś nad mogiłą, że popiół kości jego nie będzie wzgardzony, jak wyrzekł o sobie Jan z Czarnolasu. Śpiewa téż z pełną otuchą:

Lecą głosy po niebiosach,
Za głosami wtór po rosie;

Wlazłeś w kłosy, siedźże w kłosach:
W kłosach czekaj na pokłosie!
Przyjdzie kolej i na ciebie,
Twoja koléj jeszcze w niebie;
Twoje pieśni jeszcze ziemia
Niech zagłusza i oniemia.
Gdy dopełnią się nawozy,
W brzegi wróci wylew prozy;
Przyjdzie orka, wtedy może,
I twe pieśni pług wyorze.

Ale nadzieja ta nie wystarcza poecie. Uderza w skrzydła, wzbija się coraz wyżéj a wyżéj. ku tym jasnym błękitom, zkąd głos anioła szepcze mu słowa nadziemskiéj otuchy.

Nad krainą różnéj doli
Dobry anioł przelatywał,
I po drodze lecąc śpiewał:
Pokój ludziom dobréj woli!
W ślad anioła ja człek smutny,
W ludzkiém ciele duch pokutny,
Także nucę w méj niedoli,
Pokój ludziom dobréj woli.

W tém uniesieniu dusza jego rozwiązana z ziemskich więzów odzyskuje zupełną wolność. Poeta patrzy bez żalu na przebolałe dni, krzyż podjęty z miłością nie cięży mu na barkach. Nuta głęboko religijna podzwania w jego pieśni:

Błogosławieni, którzy cierpią wiele,
Wyrzekłeś Ojcze przez Syna w kościele;
Gdy więc przed Twoim stanę trybunałem,
Wyrzeknę tylko to słowo: cierpiałem.
A Ty zdjąć każesz ze mnie grzechów brzemię,
I razem z ciałem wyrzucisz na ziemię;
Wyrzucisz ze mnie wszelką myśl o ciele,
I ducha mego umieścisz w niebiosach,
Gdzie mnie pieśń przyjmie w niezliczonych głosach:
Błogosławieni którzy cierpią wiele!

W ostatnich latach, coraz bardziéj dręczony astmą, przewidywał rychły kres życia; myśl jego krąży téż bezustannie około grobu. Na kilka miesięcy przed skonem, posłał poeta na konkurs krakowski historyczny swój dramat: *Wincenty z Szamotuł*, rozszerzony w ostatnich czasach do rozmiarów trylogii. „Jeśli, mawiał, otrzymam nagrodę, będzie to na grób.” Niestety, odrzucono trylogią. Wieść o tém doszła poetę na łożu śmiertelném: spokojnie przyjął ostatni pocisk.

Umarł po chrześciańsku w maju. Zwłoki jego złożono tymczasowo na ubogim cmentarzu w Ivry, zkąd wkrótce zapewne przeniesione będą na Pere Lachaise.

W jednym z dawniejszych poematów, tak zmarły nasz lirnik odzywał się do Polek:

Jedna mi jeszcze zostaje otucha,
Że do mojego przyznacie się ducha;
Że go w swe myśli, w swe serca weźmiecie,
Że się nad jego zadumacie pieśnią,
Że poświęcicie jemu łzy i kwiecie.
Może me słowa wmarzą się wam, wesnią,
Może uczucia wasze się rozcieśnią;
Może pytanie na myśl przyjdzie komu:
A ma téż grób on, kiedy nie miał domu?

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM *).

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

XI.

Jedną z wybitniejszych cech, odróżniających epokę dzisiejszą od wieków ubiegłych, jest stała myśl i troska o możliwy dobrobyt ludzi uboższych, a w szczególności warstw zarobkujących. Ta zaś myśl ogarnia przedewszystkiém artykuły żywności, pragnąc by każdy w nagrodę pracy mógł się dziś żywić posilniéj i zdrowiéj. Oddziaływanie w tym kierunku stało się przeto wszędzie zadaniem prawodawców i statystów. Cukier jest właśnie jednym z takich artykułów żywności, których nabywanie dla najmniéj zamożnych uprzystępniać, a użycie

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za październik r. b.